



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEI

ROK 1924. WARSZAWA, 23 SIERPNIA

CENA NUMERU 1 zł. 20 gr.

## T RE Ś Ć N U M E R U :

Nieporozumienia—C-r. Działalność Polek w Ameryce (c. d.)—Dr. med. J. Budzińska-Tylicka. Z dziedziny wychowania—Marja Woyko. Iwo de Joannis (dokończenie)—Zofja B. Soliloquia (dok.)—Marja Gr.-K. Drogami duszy (powieść) c. d.—Helena Ceysingerówna. Z cyklu: „Moje dzieciństwo—Zofja Rościszewska. Sentymalna nowelka—Grazia Deledda (przekł. J. D.). Emil Verhaeren (c. d.)—Marja Grossek-Korycka. Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.)—K. Bielańska. Cel i zadania pedagogii (c. d.)—Emilja Tecka. Kobieta kraju Wschodzącego Słońca (c. d.)—Kazimierz Rogala-Kosiński. List ze wsi—Wanda Miłaszewska. Na usługach Skarbu Polskiego—Dr. Anna Wyczółkowska. Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Kronika mody—Hrabina Annie. Wskazówki praktyczne—Pani Elżbieta. Dodatek powieściowy: „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiety i jej niemieckiego ogrodu”. Dodatek robót i ubiorów. TABLICA KROJÓW.

## NIEPOROZUMIENIA

Uwagi nasze o harcerstwie znalazły echo wśród czytelniczek „Bluszczu”.

Pani W. z Jarosławia pisze do nas: „Lękałam się wystąpić z protestem przeciwko związkom harcerek, lecz skoro wyczytałam w „Bluszczu” głosy protestu, pomyślałam, że skoro jest więcej ludzi, którzy myślą tak samo, jak ja, niechże i moje zapatrywanie co do tej kwestji dołączę”.

Oto pierwsze nieporozumienie.

Głosy, cytowane przez nas, i własna pod tym względem opinja „Bluszczu” nie idzie bynajmniej tak daleko, jak poglądy szanownej naszej korespondentki.

Zasadnicza idea harcerstwa ma zarówno w nas, jak i w tych pedagogach i rodzicach, o których wspominaliśmy — gorących zwolenników, a tylko jej zastosowanie na naszym gruncie budzi od pewnego czasu niejakie wątpliwości i niepokoje. Pani W.

zaś jest stanowczą i zdecydowaną przeciwniczką harcerstwa wogóle, zwłaszcza dla dziewcząt.

I tu zaczyna się prawdziwy łańcuch nieporozumień.

Pani W. sądzi, że twórca harcerstwa miał na celu zachęcenie bogatych dziewcząt angielskich, nie mających żadnego zajęcia, a tylko pragnących bawić się i używać—do „jakiegokolwiek działania”, „do robienia czegoś”. I pisze dalej:

„U nas, w kraju ubogim, gdzie rodziny żyją z pensji, gdzie dziewczęta w 17 — 18 roku muszą pracować na siebie, gdzie pracy w domu jest dla nich aż nadto, idea tu zupełnie mija się z celem”.

Pani W. jest zdania, że dziewczyna, „która nie chce nic robić, przyłącza się do związku harcerzy. Wycieczki, zbiórki, życie obozowe, wieczorynki, zapełniają jej czas, wolny od szkoły”. I skutkiem tego nie ma

ona czasu na odrobienie lekcji, ucieszenie głowy, przysycie guzików, naprawę podartego odzienia.

„By uniknąć czesania — obcina włosy, a na zastąpienie oderwanych guzików każda harcerka posiada dosyć agrafek”, pisze rozgoryczona matka.

Oczywiście rozumiemy doskonale, jak dalekie jest pojęcie, które o idei harcerstwa wyrobiła sobie p. W. od istotnych założeń tego systematu wychowawczego.

Nie dla zapełnienia czasu bogatym, próżnującym dziewczętom, powstały związki harcerskie. Myśl zakiełkowała na gruncie największego wysiłku ludzkiego, na gruncie wojny. Krystalizując się i doskonaląc, stworzyła system wychowawczy, którego celem jest doskonalenie charakterów, wyrabianie sprawności życiowej, wszechstronne ćwiczenia sił ciała, umysłu i duszy, jednym słowem przy-

gotowywania młodzieży do życia i walki.

Co do istoty harcerstwa zatem p. W. niewątpliwie jest w błędzie. Lecz czyż to jej wina?

Czemu władze, harcerskie zarówno centralne, jak miejscowe, nie nawiązują kontaktu z rodzicami, czemu słowem żywym i drukowaniem nie propagują idei harcerstwa, nie wyjaśniają i nie popularyzują. Sądzymy, że taktyka tego rodzaju utrudnia w dużym stopniu rozwój harcerstwa. A oto dowód: „Zmuszoną byłam — pisze p. W. skłonić córkę swą do wystąpienia ze Związku, bowiem od czasu, jak zapisała się doń, życie w domu przemieniło się w piekło. Stale wracała o g. 10 wieczór ze zbiórek, odczytów i t. d., bezpośrednio po przyjściu ze szkoły szła do Związku; ani godziny niema jej w domu“ i t. d.

I jeszcze jedna skarga: „Czego tam uczą, my matki nie wiemy, bo nasze córki mają pieczęć tajemnicy na ustach, im nie wolno mówić, co się robi w szkole i w Związku!“

Otóż to właśnie! W tem całe zło. Dom, szkoła i harcerstwo, sta-

nowią nie trzy państwa sprzymierzone, ale trzy państwa, będące w stanie wojny, a przynajmniej w stanie stałego zerwania stosunków dyplomatycznych.

Ofiarą tego stanu rzeczy pada młodzież, jej dusza, którą te trzy potencje wyrwywają sobie z rąk.

Powie ktoś, że „dom“ powinien pierwszy szukać tego kontaktu. Zapewne, ale i na to jest odpowiedź w w liście p. W.

„Mąż mój jest urzędnikiem — pisze ona — ja się obchodzę bez sługi, choć ciężko mi na stare lata praczyć, gotować, uprawiać ogród, lecz muszę!“... Czyż ona ma czas?...

Są to te tragizmy codzienne, w które tak trudno niekiedy wnikać młodym umysłom.

Ale sądzymy, że gdyby harcerze któregoś wiosennego dnia postanowili sobie, jako jeden z „dobrych uczynków harcerskich“ skopać ogródek p. W., gdyby harcerki pomogły jej uprać bieliznę, tedy nabrałaby ona od razu innego pojęcia o idei harcerstwa, pojęcia bliższego ideologii jego wielkie-

go założyciela. I nie o ten jeden poszczególny wypadek nam chodzi, ale o tysiące wypadków podobnych — o większą, ściślejszą łączność harcerstwa z życiem, właśnie z tem życiem codziennem, zwykłym, prostem.

Nie godzimy się oczywiście z panią W., że życie obozowe jest czemś niestosownem dla dziewcząt, nie podzielamy jej poglądu, że służba i zawód sanitariuszki jest dla młodej dziewczyny nieodpowiednim, ale w zarzutach jej, postawionych harcerstwu, brzmi nuta prawdy. Są to jej własne gorzkie doświadczenia życiowe, wynikłe na tle nieporozumień, które tak łatwo byłoby wyjaśnić, gdyby tylko raz trzy czynniki wychowania polskiego zechciały zbliżyć się i, prowadząc pracę swą w granicach swej kompetencji każda, współdziałały rozumnie, a nie przeszkadzały sobie nawzajem.

Oczekujemy, że teraz ktoś kompetentny ze strony harcerstwa zabierze głos w tej niezmiernie żywotnej sprawie.

C—r.

## DZIAŁALNOŚĆ POLEK W AMERYCE

### II.

Zapoznawszy się z całokształtem działalności największej polskiej kobiecej organizacji w St. Zjednoczonych Ameryki Północnej, specjalne miejsce chcę poświęcić wykazaniu zasług patriotycznych i politycznych, które złożyły kobiety na ołtarzu wyzwolenia Polski w czasie ostatniej wszechświatowej wojny. Najpierw chcę podkreślić ich ofiarność materialną, co ze względu na wielkie zmaterializowanie się ducha w Ameryce, wymownie świadczy o szczerych tendencjach naszych rodaczek we współpracy z nami, w wielkim czynie wyzwolenia i odrodzenia Polski. W pierwszym roku wojny Związek Polek w Ameryce przysłał 5 tys. dolarów na rzecz braci w Polsce, przyjmując jednocześnie udział w „Centralnym Komitecie Ratunkowym“. Następnie Zw. Polek wysłał bezpośrednio pieniądze na ręce wielkich naszych działaczek, Marji Dulębianki do Lwowa i Marji Rodziewiczówny do Warszawy. Przyjmując bardzo czynny udział w zbiorce bielizny i ubrań dla żołnierzy i poszkodowanych w Polsce przez wojnę i agitując usilnie za rekrutacją polaków do szeregów tworzącej się armii polskiej we Francji, Związek Polek w Ameryce odgrywał także i polityczną rolę, wyzyskując każdą sposobną chwilę dopominania się lub

reprezentowania Polski na szerokich arenach i w Ameryce, i w Europie. W 1915 r. prezeska E. Napieralska — wtedy jako generałna sekretarka, z narazieniem życia przybyła do Europy przez podminowane głębie oceanu — ażeby reprezentować polki amerykańskie na Kongresie Międzynarodowej Ligi Kobiet pokoju i wolności w Hadze, by tam, wraz z delegatką z Krakowa, Dr. fil. Daszyńską-Golińską, publicznie i stanowczo stwierdzić, że dopóty nie będzie pokoju w Europie, dopóki nie będzie naprawioną straszną krzywda, jaka stała się narodowi polskiemu, przebywającemu z górą od wieku w niewoli. Ten apel był słyszany w całej Europie, doszedł on i do prezydenta Wilsona, który tak szlachetnie zajął stanowisko w stosunku do Polski. Związek Polek brał udział w Komisji Wojskowej na Sejmie Wychodźstwa, jak również w wielu innych narodowych organizacjach na ziemi amerykańskiej, pracujących z całym zapalem na rzecz odrodzonej Ojczyzny. Obecnie ta narodowo-państwowa praca zupełnie zamarła.

Związek Polek w Ameryce posiada swój organ „Głos Polek“; jest to tygodnik „społeczno-narodowy“, przynajmniej tak się mianuje — ale raczej trzeba go uznać za pismo w pierwszym rzędzie reklamowe dla zdobywania członkiń ubezpieczeniowych, gdyż pod względem ideowym i spo-

łecznym może mieć wpływ minimalny. Poziom pisma jest bardzo niski językowo i literacko, często niemożliwy; np. taki styl w artykule historycznym pod tytułem „Cudowne ocalenie“: „Ciężka nam kiedyś była bieda z napaścią Tatarów. Człowiek ani w nocy spać spokojnie, ani w dzień pracować nie mógł swobodnie z obawy przed tymi barbarzyńcami. Za każdym ich najazdem mnóstwo wsi leżało spalonych“ i t. d.

Chyba tylko redakcję można winić, że coś w podobnej formie i stylu drukuje! Albo w każdym numerze powtarzające się takie reklamowe wezwanie: „Kaźda prawa Polka, członkinią Związku Polek, lecz musisz ją pozyskać“. Już lepiej, gdy w każdym numerze u góry tłustemi czcionkami wołają: „Pod sztandar Związku Polek“. Często spotykają się nienaturalnie egzaltowane wezwania, określające pracę ubezpieczonych, jak np. „tak zgodnie, jednomyślnie pracują na chwałę i pożytek dla dobra Kobiet—Polki“. Wielka szkoda, że Związek Polek nie korzysta z talentu przebywającej w Chicago sławnej literatki, p. Marcinowskiej, która by pokierowała ich organem i pod względem narodowym i ideowym.

Głównym celem tej organizacji jest ubezpieczenie pośmiertne, a cała ideowość, cała praca narodowo-społeczna, to tylko mały dodatek.

łście amerykańskim sposobem przybawają nowe członkinie, bo za każdą zdobytą, wprowadzająca osoba otrzymuje 1 dolara od dorosłej, a pół dolara od nieletniej, a każda członkini Związku Polek w Ameryce musi być ubezpieczoną; od tego zaczyna się wstępowanie czyli przyjęcie. Najpierw trzeba wypełnić papiery, które tam nazywają Aplikacją kandydatki na członkinię; jest to cały arkusz, pełen szczegółowych pytań, zeznań i badań lekarskich. Oprócz zupełnie niepolskich zwrotów i wyrażań, jak np. „będę mieć lat w dniu następnym urodzin”—lub lekarz ma podać: „jakiegokolwiek spostrzeżenia, dotyczące się charakteru ryzyka, a które nie są objęte pytaniami”—i t. p. Uderza w tem jedna zasadnicza sprawa, dotycząca macierzyństwa, która nie powinna w Związku Kobiet być tolerowaną. A mianowicie, jest jasno powiedziane, że brzemiennie kobiety nie mogą się ubezpieczać: „Aplikacje niewiast w stanie ciężarnym nie będą przyjęte, aż dopiero w dwa miesiące po rozwiązaniu”.

Czyżby w Ameryce tak dużo kobiet umierało przy porożeniu?

W każdym razie takie stawianie sprawy przez organizację czyisto kobiecą, mającą przytem pretensję należenia do instytucji o charakterze społecznym, byłoby u nas nie do pomyslenia...

Wreszcie w końcu tej polisy jest zaznaczone, że oprócz opłaty, odpowiedniej do sumy ubezpieczeniowej, członkini płaci: 5 centów na organ, 5 centów na fundusz obrotowy, 1 centa na wydział oświaty i 1 centa na Sejm (roczne walne zebranie). Z tego widzimy jasno, że jest to instytucja par excellence finansowa, że sprawy społeczne są traktowane tylko zdawkowo, mając w istocie tylko minimalny wpływ na oświatową i kulturalną dziedzinę

życia naszych emigrantów. A szkoda! Trzydzieści tysięcy zorganizowanych kobiet, matek, młodych panien i dziewcząt—pod odpowiednim kierunkiem, ujętych w należne kadry pracy społecznej, uczonych, oświecanych i promieniujących w okół najbliższych rodaków, starających się dotrzeć do ciemnych, biednych mas proletariatu polskiego, przez wszystkie opuszczonego, wyzyskiwanego, brudnego, nędznego... Cóż to mogłaby być za potężna organizacja kulturalno-społeczna!

Ze Związkiem Polek w Ameryce spotkałam się bezpośrednio parokrotnie, a głównie w Centrali na Ashland Ar. N. 1309. Chicago. Illinois, a także i w Pensylwanii, w Pittsburgu; tu i tam miałam dłuższe referaty o obecnym stanie polityczno-ekonomicznym w Polsce i o działalności kobiety polskiej. W Pittsburgu byłam przyjmowana nadzwyczaj serdecznie przez specjalny komitet z przewodniczącą tamtego oddziału, panią Honoratą Wołowską na czele. Trafiłam tam właśnie na niezwykle uroczysty dzień dla Stanów Zjednoczonych. Oto drugą niedzielę maja, od lat kilkunastu, ci, naporóż zimni i wyrachowani amerykańkanie, poświęcają szczytnej, wzruszającej pamięci: uznaniu i miłości kobiety, jako matki; nie macierzyństwu—ale matce, matce staruszce, matce, która tyle poświęceń, cierpień fizycznych i moralnych przechodzi przez długie lata, by dać życie, troskliwą opiekę i wychowanie młodym pokoleniom! Niechże te pokolenia wyrażą choć raz do roku swą wdzięczność, swe uznanie, swą miłość, swój szacunek... Szczególniej to ostatnie uczucie „szacunek rodzicielski”, który tak bardzo został przez ostatnią wojnę, czy przez skutki tej barbarzyńskiej wojny, osłabiony, tak zdeptyany, tak spotwarzony... Oto amerykańkanie dają przykład

starej Europie, że matkę trzeba kochać i szanować; że dla zamianifestowania tych wzniosłych uczuć, dla obudzenia ich w piersiach starszych lub młodszych—by te uczucia nie słabły i nie tępiały—dla uprzytomnienia społeczeństwu, jaką świętością jest, jaką świętością być powinna dla dzieci ich matka, ich rodzicielka, ich wychowawczyni i najbliższa, najserdeczniejsza istota, amerykańkanie ofiarowują „matce” drugą niedzielę miesiąca wiosny, gdy wokół śmieją się kwiaty, śpiewają hymny ptaszęta, a słońce błogosławi i młodych, i starych, i bogatych, i biednych. Specjalne wiece, zebrania, odczyty, koncerty, pochody, a w oknach wystawione twarze, biusty, postacie kobiety-matki; często młodej—najczęściej jednak pochylonej staruszki.

W tym niezwykłym święcie biorą udział wszyscy: i ci szczęśliwi, którzy mają matki rozpromienione, szczęśliwe—obsypane w ich dniu upominkami, kwiatami, słodyczami, i ci smutni, zadumani, śpieszący na miejsce wiecznego odpoczynku—by swym matkom złożyć wiązanek kwiatów. Śliczne, poetyczne, wzruszające święto! Czy dałoby się ono przenieść na nasz polski grunt? Czy nie czujemy wszyscy, jak zastrasząco upada u nas—a może i w całej Europie—autorytet rodzicielski?—Jak egoistyczną, bezwzględna, szorstką, rubaszną jest współczesna młodzież?

Może przezorni amerykańkanie prze-czuwali, że temu świętemu uczuciu grozi niebezpieczeństwo i, jako środek zapobiegawczy, wzruszyli sercam swego społeczeństwa, podnieśli je ponad poziomy i potrafil zagrać symfonię miłości dla matki.

Związek Polek w Ameryce wraz z całymi Stanami Zjednoczonymi śpiewał w dniu Święta Matki wzruszający hymn dla i szacunku.

Dr. med. J. Budzińska-Tylińska

## Z DZIEDZINY WYCHOWANIA

### 1. ZNACZENIE PRACY RĘCZNEJ.

Przekonanie o potrzebie dobrego wychowania dzieci jest tak dawne, jak cywilizacja.

Wiemy o tem, że jest ono warunkiem szczęścia człowieka, podstawą moralną wielkości narodów, o tem wszystkiemu wiemy—tylko w czyn wprowadzić tego jeszcze nie potrafiliśmy. Działalność nasza pedagogiczna jest jednostronna: nauczanie jest wyłącznym celem naszych zakładów naukowych.

Wydamy coraz lepsze programy nauk poszczególnych, ale nie mamy programu, któryby traktował kwestję wychowania w szkole.

Mamy doskonałych specjalistów do przedmiotów poszczególnych, tylko

nie spotykamy specjalistów — wychowawców. Nie mówię o opiekunach klasowych, którzy mają tyle godzin wykładowych, że o jakimś bliższym zespoleniu ich z uczniami nie może być mowy, a wszak na ich to barkach leży największy obowiązek.

Miejmy nadzieję, że będzie lepiej, ale dziś, musimy szczerze wyznać, że szkoły nasze — to dobre uczelnie, ale nie instytucje wychowawcze.

Jeżeli tak jest — to cała praca wychowawcza spada na rodziców, przynajmniej w tym okresie kiedy dziecko do szkoły jeszcze nie uczęszcza.

Jednak, ile razy słyszymy narzekanie rodziców, że dziecko umie już czytać, pisać i rachować, a z powodu młodego wieku nie może być przyjęte

do szkoły. „Co takie dziecko ma robić w domu? — tylko baki zbija!”

Zapominają, że wiek ten — wiek przedszkolny — jest wiekiem tworzenia się przyzwyczajęń, wiek budzenia się instynktów dziecka, z których jedne przytłumić, drugie pobudzić należy, wiekiem budzenia się zmysłów, które przy odpowiednich pomocach wychowawczych możemy rozwinać — otóż ten pierwszy obowiązek spełnić potrzeba, a wtedy dziecko będzie przygotowane do objęcia nauki szkolnej.

A czas ten, w odpowiedni sposób wyzyskany, jest tak ważny w życiu dziecka, że raczej opóźnić, niż przyspieszyć należy oddanie je do szkoły.

Z pomiędzy środków wychowawczych zatrzymam się na jednym niedocenionym należycie, a nawet zaniedbanym — jest nim praca ręczna.

Doświadczenie wskazuje, że praca ręczna ma wielki wpływ wychowawczy i przyczynia się do ogólnego jego rozwoju: ćwiczy zręczność ręki, kształci zmysł dotyku i wzroku, zmusza do obserwacji, do dokładności, wytrwałości, skoncentrowania się i rozwija w wysokim stopniu uwagę i samodzielność.

Pod względem higienicznym praca ręczna zbawiennie oddziałuje na system nerwowy.

Lecz mięśnie dłoni i palców małego dziecka (5—6 letniego) są jeszcze słabe, przeto i praca jego będzie miała charakter bardziej wychowawczy i nie możemy od niej żądać wyników praktycznych.

Chcąc rozbudzić zamięłowanie do pracy nie należy zaczynać od robót mechanicznych, nudnych — jak łatanie, cerowanie, szydełkowanie i t. p. choć są pożyteczne — lecz polecić roboty łatwe, przyjemne i estetyczne.

Roboty dzieci w wieku przedszkolnym muszą odpowiadać trzem warunkom: zainteresowaniu, świadomości celu i przyjemności tworzenia.

Więc, jeżeli praca nie zajmuje dziecka, nie kształci i do niczego nie prowadzi — będzie mechaniczną i bezcelową.

Modelowanie z gliny, wycinanie, klejenie, plectenie — będą to zajęcia najbardziej przez dzieci lubiane.

Z początku prace ich będą bardzo nieudolne, lecz gdy zapoznają się z własnościami gliny, będą usiłowały zużytkować ją w sposób właściwy: zaczną lepić dzbanuszki, wazoniki, owoce, zwierzęta i t. d., przyglądając się wzorom po kilka razy, po kilka razy przerabiając tę samą rzecz, by jaknajbardziej (podług ich mniemania) odpowiadała rzeczywistości.

Spostrzegawczość i uwaga dziecka musi brać niemały udział w takiej pracy.

Roboty te nie wymagają żadnych przyrządów, z wyjątkiem deseczki lub tektury, na której dziecko modelować będzie, a dobrze wyrobiona glina rąk walać nie będzie.

Tak samo rzecz się ma z wycinaniem (potrzebne są małe nożyczki z tępyimi końcami); czy dziecko wycina coś od ręki, czy posilkuje się szablonem — zawsze coś tworzy, coś naśladuje — wyodrębnia kształt, barwę, części przedmiotu, kombinuje, zestawia. Praca ta daje mu wiele różnorodności: kolorowe ornamenty, krajobrazy, ozdoby i zabawki. W pracach tego rodzaju nie jest to ważne, co dziecko zrobiło (dla niego będzie zawsze potrzebne), lecz czego się przy tej sposobności nauczyło.

Ale oto dłoń dziecka okrzepla — wymaga pracy o większym wysiłku. I tu — na pierwszym planie staną

roboty tekturowe (z tektury półfunctowej).

Zjawiają się pomysły fabrykowania wozów, stajni, domów, pudełek, piórników i t. p. — rzeczy, które wymagają ściślejszych wymiarów, większej orientacji.

W tych pracach dzieci posługują się figurami geometrycznymi różnego kształtu i różnej wielkości, których używać będą, jako szablony, a które muszą im dać wychowawcy.

Ktoś chce zrobić pudełko. Wybiera odpowiedni prostokąt, obrysowuje go 4 razy na kartonie, potem dobiera odpowiednią figurę na boki — potem wycina i skleja — pudełko gotowe.

Innym razem przyszedł mu pomysł ozdobić pudełko wycinanką — otrzymał rzecz ładną „prawdziwą”, może z niej mieć pożytek.

Innym razem porobił sobie meble dla lalek: z prostokątów nawpół przegiętych — krzesło, z owalu — blat stołu, a patyczki, przyłączone pluskiewkami, zastąpią nogi.

W ten sam sposób sfabrykują kuchenkę z przynależnymi stołkami, domki, kościoły i t. p.

Nie zawsze i nie wszędzie znajduje się materiał gotowy — taki, jak tektura, bibułka i t. p. — ale zato w każdym domu znajdują się odpadki różne — pudełka, szpulki, foremki od guzików, patyczki, sznurki, drewnienka, kółka, koperty, drut i piora i t. p.

Będzie to nieoceniony materiał do fabrykowania przeróżnych „potrzebnych” rzeczy.

Powstają urządzenia sklepowe, szopki, wózki, domki, karuzele (z pudełek od zapalek), baki (z foremek od guzików), bębenki, pociągi i t. p.

Zabawki takie, przez dzieci wykonane, będą bardziej cenione od sklepowych — bo one je wymyśliły, zrobiły, przystosowały do potrzeb, mogą przerabiać i dowoli się niemi posługiwać.

Tego rodzaju praca wymaga nie tylko uwagi i spostrzegawczości — ale także pomysłowości większej, a przeto dziecko uczy się oszczędności, uczy się zużytkowywać każdą rzecz, na pozór niepotrzebną.

Jakiż udział w tym wszystkim bierze wychowawca!

Większość dzieci pracuje chętnie, lubi samodzielność — głównym ich bodźcem — jest zainteresowanie.

Udział wychowawcy będzie polegał na daniu pewnych wskazówek, sposobów lub pomysłów, o ile dziecko tego zażąda. Zdarza się jednak, że któreś dziecko zniechęca się do pracy dlatego, że robota mu się nie udaje.

W tym razie wychowawca przyjdzie mu z pomocą — wykonywując tę robotę, niby dla siebie — ale wobec dziecka.

— Jabym w ten sposób zrobiła wagoniki — nacinam papier i oklejам pudełko ze wszystkich stron. Kółka

nie potrafię wyciąć od ręki, obrysuję pieniążek, wtedy wytnę, zrobię dziórkę w środku i przesunę patyczek i t. d.

— Spróbuj teraz, może ci się uda zrobić podobny.

Lepiej jest zostać jakiś czas e-szcze przy dziecku, pochwalić jego najmniejszy wysiłek, doradzić, zachęcić, nim dziecko nabierze wiary w siebie.

Gdy palce dziecka nabrały nieco zręczności, mogą wykonywać roboty trudniejsze i pożyteczniejsze, gdzie wskazówki i inicjatywa wychowawcy jest pożądana.

Są to roboty ręczne ze szpagatu: lejce, torebki, siatki, z bibułki — kwiaty, lalki, ozdoby na choinkę z rafji białej i kolorowej, która się nadaje na plectionki i wyplatanki — z nich mogą dzieci robić patarawki, moty, koszyczki, torebki, piłki, lejce i t. p. Z gałązek wierzbowych mogą zrobić szkielet koszyczka, czy meble dla lalek i przeplatać łykiem, szulfem (tatarak) lub plectionkę z rafji i t. p.

We wszystkich tych pracach wychowawca wymagać będzie jednego — by prace były wykonane możliwie dokładnie, by dziecko nie rozpocząło roboty drugiej, jeżeli nie skończyło pierwszej. Natomiast wychowawca będzie wykazywał wielkie zainteresowanie dla prac samodzielnych pomysłu.

Roboty te w wysokim stopniu wyrabiają dokładność i wytrwałość, a przeto budzą instynkt społeczny: dziecko może komuś ofiarować swoją pracę. A im większa będzie dokładność w wykonaniu roboty, tem będzie lepsze świadectwo wykształcenia oka i ręki pracownika.

Pociąg do pracy wzrasta, jeżeli robota jest miłą dla dziecka, i do tego nie potrzeba, żeby była kosztowna; z najprostszego materiału może wydać rzecz dobrą i gustowną.

Należy jeszcze wspomnieć o najprostszych zajęciach — są to drobne usługi przy domu i dokoła siebie.

Od najwcześniejszego wieku dziecko musi włożyć się w sprzątanie, mycie, czyszczenie obuwia i ubrania, ścieranie kurzu, zmywanie, pozatem są roboty sezonowe: zamiatanie, zbieranie liści suchych, gałęzi, ziół lekarskich, pielęgnowanie roślin i zwierząt, utrzymywanie ścieżek, polewanie ogrodu, roboty ziemne i t. p.

Dziecko lubi naśladować czynności starszych, podnosi się w swoich oczach, tem iż może wykonać roboty praktyczne i chętnie niemi się zajmie. Jednocześnie rozwina w sobie wrażliwość na pracę innych ludzi i zrozumie w przyszłości, że próżniactwo jest występkiem względem siebie i społeczeństwa<sup>1)</sup>.

Marja Weryko.

<sup>1)</sup> Wzory do robót dziecinnych będziemy od czasu do czasu umieszczali w „Bluszczu”.

## IWO DE JOANNIS

3)

(D o k o Ń c z e n i e)

Zebrania w których uczestniczyło po kilkaset osób—odbywały się z programem następującym: najprzód konferencja na temat religijno-moralny, apologetyczny, społeczny lub wogóle aktualny, ilustrowane często przezroczami, potem następowała część rozrywkowa: śpiewki, monologi, deklamacje i t. d. Iwo oddał się tej pracy z całym swym młodzieńczym zapałem. Przemówienia jego pociągały słuchaczy urokiem silnego przekonania i wielkiej prostoty. Umiał trafić do serc audytorjum dzięki tej właśnie szczerości, wolnej absolutnie od wszelkiej pozy i wszelkiego wywyższania się ponad tych, do których przemawiał, jak do bliskich i drogich mu braci.

W maju 1910 r. Iwo kończy liceum. Powołanie jego do stanu kapłańskiego precyzuje się już coraz bardziej. „Chcę — mówi sam o sobie w swych pamiętnikach — zostać księdzem, aby mózdz lepiej ukochać Boga i pracować nad tem, aby i inni Go kochali“. Po wakacjach jedzie do Rzymu i wstępuje tam do Seminarjum francuskiego. Przez trzy lata pobytu w tym zakładzie przejmuje się coraz głębiej duchem katolicyzmu i uczy się rozumieć i kochać jego piękno. W listach swoich do rodziny opisuje studia i postępy w nich czynione; podkreśla, jak szczęśliwym się czuje na obranej przez siebie drodze; dzieli się z najbliższymi swymi myślami, projektami na przyszłość...

Iwo kocha całą duszą Rzym. „Wieczne miasto“ wywiera na jego wrażliwą psychikę urok nieprzeparty. Korzysta też z każdej wolnej chwili, aby zwiedzać najdalsze zakątki Romy. Zwłaszcza pociągają go katakumby. Spędza w towarzystwie swych kolegów długie godziny w tych grobowcach pierwszych męczenników chrześcijaństwa, „czerpiąc stamtąd“ — jak mówi, „ducha prawdziwego chrystjanizmu i miłowanie Boga nadewszystko, aż do śmierci męczeńskiej“.

W 1912 r. Iwo otrzymuje pierwsze święcenie kapłańskie. Następne mają przyjsk w roku 1913. Zamiast tego jednak zostaje powołany do służby wojskowej, wedle ustawy, obowiązującej we Francji. Spędza cały rok w szeregach armji, jako artylerzysta. Marzy o powrocie do Seminarjum. Latem 1914 r. zostaje zwolniony. Zdaje się, że już nic nie stoi na przeszkodzie spełnieniu jego najgorętszych pragnień. Nagle, z podróży do jednego z kolegów seminaryjnych odwołuje go depeza matki. Mobilizacja zarządzona...

Iwo nie waha się ani chwili. Jedzie spełnić swój obowiązek francuza. „Przyszły kapłan powinien świecić przykładem innym!“ mówi. „Naprzód więc w imię Boże!“

Jako syn i wnuk żołnierzy, którzy walczyli za Francję, Iwo czuje się szczęśliwym w szeregach armji francuskiej. Jako chrześcijanin i przyszły kapłan, jednak cierpi nad koniecznością przelewu krwi. Pocięsza się myślą, że wojna ta nie jest zwykłym zatargiem dwóch państw na tle współzawodnictwa ekonomicznego lub politycznego. W liście do jednego ze swych przyjaciół pisze, co następuje:

„Nie mam w swej duszy nienawiści do żadnego człowieka, ani narodu. Nie mogę jednak nie zdawać sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie zagraża Kościołowi i Francji ze strony kolosa niemieckiego, przenikniętego duchem Lutra i Kanta. Nie mogę się oprzeć uczuciu, że wojna ta jest krucjatą przeciwko kłamliwej filozofji, kłamliwej egzegezie, kłamliwej polityce, pełnej arogancji, i pragnącej ujarzmić świat cały, przeciwko tej pogardzie naszej rasy, naszej przeszłości, naszej wiary. I pomyśleć tylko, że wielu z pośród francuzów, zamiast wczuwać się w dzieła wielkich naszych klasyków, przesiąknięte duchem kultury łacińskiej, wołają się pograżać w lekturę Kanta, Hegla, Schopenhauera i innych! O, jakże jestem wdzięczny moim drogim nauczycielom, że potrafili wzbudzić we mnie miłość do Francji katolickiej, spadkobierczyni latyńskich tadcji...“

Nie można czytać bez wzruszenia krótkich, pośpiesznych kartek, pisanych z frontu do domu. Iwo opisuje w nich prawie dzień po dniu wszystkie swoje przeżycia. Gorąca jego dusza odsłania się w tych prostych, bezpośrednich, często stylem telegraficznym pisanych zdaniach, w całym swoim pięknie i szlachetności. Dzięki swej naturze czynnej, energicznej Iwo czuje się na froncie poprostu w swoim żywiole. Bateria jego zostaje wysłana na front belgijski. Przez kilka pierwszych dni spokój na pozycjach. Iwo nie może się doczekać momentu rozpoczęcia walki. „Kiedyż nadejdzie ten wielki dzień, w którym mamy otrzymać chrzest ognia! Może dziś? Może jutro? Wczoraj w nocy był alarm. W ciągą dziesięciu minut działo moje było gotowe!—Do matki pisze: „Módl się często za Janka i za mnie. My musimy modlić się czynami, bo słowem i myślą nie zawsze mamy czas. Muszę ci wyznać, że wyjazd mój na front przejął mnie radością niemniejszą, niż wyjazd do Seminarjum. Jedynie poczucie spełnionego obowiązku może dać tyle spokoju i szczęścia“.

Wreszcie nadchodzi upragniony dzień. „Już się zaczęło! Armaty grzmiać od trzech godzin. Czuję się, jak w bajce. Kule gwizdają nad nami. Janek jest na stanowisku, przy swojej armacie. Ja siedzę dobrze ukryty w krzakach, pilnując koni, stoimy, jak mur! Co za radość! Skończyłem przed chwilą swój różaniec. Ofiarowałem go za ciebie, Mamusku, i za was wszystkich kochanych. Cóż to za cudny dzień! Chwała Panu Najwyższemu! Niech żyje Francja!“

Krótko miał trwać ten radosny sen „jak w bajce“. Jeszcze kilka kartek, skreślonych w pośpiechu. Ostatnia z datą 7 września, 8-go zaś — w święto Narodzenia M. Boskiej, — Iwo pada, przeszyty kulą nieprzyjacielską...

Pocisk trafił go w pierś. Krew bucha. Iwo, bardzo blady, mówi do nadbiegającego mu na pomoc brata: „Wracaj do swego działa! Tam musisz być w tej chwili — to twój obowiązek“. Żołnierze kładą go na wózek amunicyjny i odwożą do najbliższego posterunku sanitarnego...

Wezwane depezą dowódcy baterji, matka i siostra Iwona przybywają do szpitala, w którym kona młody żołnierz. Wita je wybuchem radości. Cierpi bardzo, ale jest pogodny i spokojny. Matka spędza całą noc przy jego łóżku: Iwo śpi, jak dziecko, a nazajutrz rano dziękuje matce uśmiechem. „To moja pierwsza dobra noc. Zawdzięczam ją tobie, mamusiu...“

Następnego dnia stan chorego pogarsza się. Lekarz już nie robi żadnej nadziei. Pani de Joannis, wiedząc jak bardzo jej syn pragnąłby umrzeć po chrześcijańsku, zapytuje go czy nie chciałby przyjąć ostatnich Sakramentów. Iwo zrozumiał. Z piersi jego wyrwa się okrzyk radości: „Więc to już? Och! matuchno! co za szczęście! Zobaczyć Niebo! Och, tak, Matuś, tak — chcę się wypowiedzieć! Chcę przyjąć Święte Sakramenta!“

Po dopełnieniu tego ostatniego aktu, Iwo pozostaje sam z matką i siostrą. — Noc zapada. Lekarz, na prośbę umierającego, pozwolił mu tę ostatnią noc spędzić z rodziną. Iwo żegna się z całym personelem szpitalnym, dziękując im za trudy i opiekę nad nim. Jeden z sanitariuszy mówi, płacząc: „Zgodziłbym się dziesięć razy tyle pracować, byleby tylko pan wyzdrowiał!“

Po odejściu wszystkich, Iwo zaczyna opowiadać matce szczegóły swego pobytu na froncie, ostatniej bitwy, transportu do szpitala. Mówi głosem przerywanym, słabym, ale na prośby matki, aby odpoczął i starał się zasnąć, odpowiada z uśmiechem: „Pozwólcie mi powiedzieć wszystko. To już ostatni raz...“

Wspomina o wszystkich, których znał i kochał. Każdemu przesyła pozdrowienia. Powtarza kilkakrotnie: „Bładny Janek! Pozostał tam sam — beze mnie!“

Widząc matkę płaczącą, mówi łagodnie: „Nie trzeba płakać, mamo. Jestem tak szczęśliwy!“ P. de Joan-

nis odpowiada przez łzy: „Diecko drogie, czy przygotujesz mi tam miejsce przy tobie — w raju?” „O tak Matuchno! Kocham cię tak bardzo!”

Na sali panuje cisza. Ranni, tak niespokojni nocy ubiegłych (jęki ich budziły nieraz Iwona ze snu gorączkowego) — leżą teraz cicho, wsłuchując się w ten słaby głos, patrząc, jak kona ten prawdziwie chrześcijański żołnierz.

Około pierwszej nad ranem Iwo podnosi się na łóżku resztkami sił. Głosem przerywanym mówi:

„Mamusiu, to już koniec. Nie mówcie do mnie... Nie zabierajcie mi sił do tej ostatniej, największej walki... Ucałujcie mnie — odchodzę...”

Wezwany pośpiesznie doktor nadbiega. Niema już nic do zrobienia. Oczy Iwona nie widzą już ziemskich rzeczy. Z wyrazem największej tkliwości wpatrują się w wiszący nad łóżkiem krucyfik. Zbielałe usta szepcą prawie niedosłyszalnie: „O, mój Jezus...” Wreszcie bezsilna głowa opada na poduszki. Ostatnie westchnienie ulata z piersi...

Czysta jego dusza stała już przed Bogiem.

Iwo de Joannis nie był jedynym kapłanem we Francji, który złożył swe życie w ofierze ojczyźnie. Oprócz niego poległo śmiercią bohaterską w szeregach armji francuskiej wielu jeszcze młodych kleryków i kapłanów, między innymi i koledzy jego semina-



ryjne: ksiądz Monbru, porucznik artylerji, który zginął na polach Lotaryngji, — ksiądz Huftier, porucznik piechoty, dwukrotnie już wymieniany zaszczytnie w rozkazach dziennych pułku, zabity w chwili udzielania absolucji umierającemu żołnierzowi. Znalaziono go ze stułą kapłańską, nałożoną na mundur wojskowy...

I tylu, tylu innych, — których nazwisk historia nie wymieni... Przeszło 20.000 księży walczyło przeciw w armji francuskiej. Krew tych bezimiennych bohaterów nie poszła na marne, wydała ona posiew obfity w duszach ludu francuskiego. Lud ten, wychowany przez ostatnie dziesiątki lata w nienawiści do wszystkiego, co chrześcijańskie i katolickie, zrozumiał — dzięki tym cichym, świętym ofiarnikom — piękno i prawdę katolicyzmu. I dziś wielki ruch odrodzenia religijnego we Francji w znacznym stopniu zawdzięcza swój żywiołowy rozkwit takim apostołom, jak Iwo de Joannis.

Zeffa B

3)

## SOLILOQUIA

(D o k o Ń c z e n i e)

Proza poetycka.

Trzeci raz na pustyni zwałonego życia, trzeci raz Wszystko utraciwszy, leżałam twarzą na kamieniu, sama, jak kamień!...

Nic mię już teraz nie bolało. Upiory przychodziły nocą mię pokarmiać — dziwożony splatały mój długi, sponiewierany włos... Ropuchy i jaszczurki ssaly krew z palców mych bezbronnych, wydzierając je sobie, jako przysmak. Chocholy i puki z dzikim gwizdem wyprawiały nade mną gzy swoje, nie krępując się obecnością tego, co już nie uważało się za żywe...

Wyszedł na niebo ogromny letni księżyc, — a na nim, jak na chuście Weroniki — ukazała się twarz Boga Ojca — z dwiema wielkimi łzami na policzkach... Z niezmierzoneści niebieskich te łzy, po chwili oderwawszy się od twarzy, jęły spadać w ciemnym powietrzu, powoli... jak dwie złote rosy — które rozlały się po mojem czole ze słodyczą i wonią raju...

Ach, te łzy litości Boskiej!... one mię pogodziły z tem życiem okropnem — i zrozumiałam wtenczas, że ja sobie je sama zgotowałam...

Mieszkam teraz na granitowej wieży, która ze stromej skały niezliczonemi schodami spuszcza się prosto w morze.

Dom mój zbudowany jest nie dla życia i jest to dom nieludzki! Ale w nim posiadałam najwyższe piękno i górny spokój. — Nie dzwonią mi już tutaj „kwi atki krwi” na gałązkach obłamanych zczerniałego mojego koralu. Nikt tutaj na mnie po imieniu nie zawoła — i nie pamiętam już, jak wyglądają oczy kochające. Lecz dobrze mi jest, kiedy nocą przechadzam się po galerji okrężnej na szczycie, a gdzieś w przepaści na dole szumi morze...

Czy to już wybiła godzina ostatniej próby?! Czy jaki wielki Demon w nocnym przelocie ponad moją wieżę zaczepił o nią skrzydłem, zapalającem nawet granit?!...

Szept syreni, szept kusicielski, który mię wywiódł jeszcze z białego dworku dziecięctwa z pod straży malw, i teraz w dół mię pociągnął jakimś nieobjawionym czarem: „Chodźmy stąd!... chodźmy stąd”! Niezliczonemi piętrami zbiegłam po nieskończonych schodach i stanęłam na dawno niewidzianej ziemi! Zobaczyłam, jak wyglądają róże i jak się patrzą oczy kochające... I nie mogę się od ziemi już oderwać! Opętał mię niedoznawany nigdy przedtem w tym stopniu: żal ziemskiego.

Wołają mię! tam, na wieżę moją... Głos zawodzący słyhać trąby srebrnej... To znak, który podają

gwiazdy, znaki, że zostałam usłyszaną! Hasło! Gwiazdzisty Świat przeze mnie podaje ziemi!

A ja nie mogę na mój wysoki posterunek powrócić, Anima mea! Angele Dei!

Jeżeli można odwróc ode mnie ten kielich gorzkiej męki...

Chcę jeszcze rozpętać w sobie człowieka!

Na jedną kroplę, na niepochwytne czas...

Słyszę kogoś za drzwiami... jak maca po ciemku, szukając klamki... Może to śmierć?!...

Za serce ścisnęła mię ostatnia ludzka tęsknota za ziemskim...

Na jedną kroplę... na niepochwytne czas... ludzkiego ziemskiego...

Pragnę!

Niech ramiona zakołyszą się w ramionach, jak barka, którą ponosi morze wzburzone! — niech w noc gorącą i czarną uczuję na ustach przylgnięcie dwóch aksamitnych płatków żywego szkarłatu!... niech jeszcze raz usłyszę cudny rytm dwóch serc, bijących razem.

Wszelako, niechaj się stanie wola twoja — a nie moja!

Jest to ostatnie powianie chustką odpływającego okrętu.

Anima mea! Angele Dei!

Padam przed tobą na kolana i modłę się do Ciebie, o Pani! Obmywam łzami i ocieram włosami lilje stóp twoich, poranione o kamienie dróg ziemskich, po których włóczy się za tobą tak już długo moja nieuleczalna, niewytrawiona niczem wola życia.

Ach i te zniewagi, mój Aniele! — i te upokorzenia, które ci zadaje moja nędza ziemiska i moja słabość człowiecza!

promieni na rozmaity długość wedle wysokości tonu — na miljardy miljardów gamm.

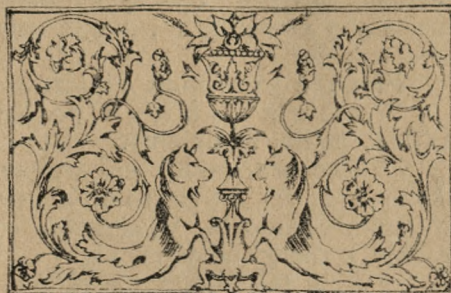
Błyskawice twych palców przebiegają nieskończoność strun gwiazdowych jednym gzyzakiem piorunu — od basów ciemnego chaosu, tak głębokiego, że „stań się“ tam nie dotarło — do trójcy gwiazd, trylujących w zenicie świata najwyższym sopranem aniołów. — Od akordów twoich straszliwych drży kopała świata i zrysowała się jej błękitne szkło... Po prawicy twojej śpiewa Chór Lilji anielskich — a po lewicy czarny Chór

Irysów demonicznych, kłaniając się do taktu pieśni w stronę Absolutu, a z końcem wersetu padając na twarz w niemej adoracji... obydwie gigantyczne! wyrosłe od słońca do słońca! rozpylające się w niezmiernościach eteru, jak kurz pomarańczowy letniego zmierzchu w lesie...

Zwabione tą muzyką, zlatują się z głębin bezmiaru, jak ćmy do ognia, chmary główek dwuskrzydłych, które eter dopiero co urodził, a które, po raz pierwszy ujrawszy Przedwiecznego, stają z rozszerzoną źrenicą...

Duszo moja — siedmioskrydły Serafinie niebieski! — który opuszczasz ciało moje nocą. — Widuję cię wtedy, przez snem zaklejone powieki, na glorijskiej osłepiającego blasku; na tej zasłonie, co zakrywa saneti sanctorum.

Siedzisz na najniższym stopniu niebieskiego tronu i, Muzyku boski, stroisz harfę nieba, kręcisz złotymi kołkami gwiazd, napinając cięciwę



HELENA CEYSINGERÓWNA

12)

# D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

— Ależ moja droga, przecież to ona zajmuje się wszystkim w domu, ona jedna tu pracuje!

— Przesada! I nasze dziewczęta pracują. Belcia dzisiaj nawet smażyła konfitury. I ja zrywam się, jak mogę...

— Nigdy, nigdy się na to nie zgodzę. Wybij sobie to z głowy — podnieconym głosem mówił Sokołowski — Wy pracujecie! Wychowałam córki na skończone próżniaki! Ta dziewczyna w przeszłym roku, jak samarytanka, chodziła koło nas wszystkich...

W podniesiony bas męża wpadł syk złośliwy pani Eweliny.

— Ach, cóż za zapal! — rzekła — Wiem, wiem! Dawno już widzę tę adorację. Widzę doskonale, na co się zanosi. Ona usunęła mnie od wszystkiego... a teraz...

— Usunęła cię! Przypomnij sobie, czyś ty się kiedy, jak należy, zajmowała domem, jaka z ciebie była gospodyni, jaka matka?...

— Byłam chora, ty wiesz i wiesz dlaczego. — Sokołowski zamilkł.

Ewelina szlochała...

— Odsunęła mnie od wszystkiego przybłąda przeklęta!

Nerwowe rozdrażnienie jej rosło z każdą chwilą.

— Ja wiem — mówiła głosem, który przerywało łkanie — ja wszystko rozu-

miem. Myślisz, że nie widzę, co się dzieje dookoła. Myślisz, że ten twój romans — to tajemnica!... Wczoraj krzyknęłaś na Manusię, że jej odpowiedziała niedość uprzejmie... ha! ha! wielka dama! trzeba koło niej chodzić na palcach!

— Co ty wygadujesz, warjatko! Pani Ewelina szlochała z całych sił.

— Tak się kończy wszystko na świecie! — powtarzała — tak się kończy!...

— Ależ uspokój się! To wszystko przywidzenie! Nie rozumiem, jak możesz...

— Umrę, umrę niedługo! Codzień mam mniej sił... Zostawię ci swobodę... ożenisz się ze swoją... kochanką... wygnasz dzieci!...

— Wściekłaś się, czy co?!...

— Ha! ha! — śmiała się teraz histerycznie pani Ewelina — cudowne zakończenie komedji!... głupiej komedji życia!... ha! ha!...

Śmiech ten przeraźliwy skakał przerywanym rytmem po uśpionym domu, tłukł się po ciemnych pokojach, niewstrzymany, obłądny, straszny.

Wanda, drżąc, wysunęła dłoń z rączki uśpionego dziecka i pobiegła na palcach do swego pokoju, długo, długo goniona tym śmiechem, niby przekleństwem...

A gdy ze świtem powracasz do mnie, mój Aniele, do palców twych cudotwórczych i do włosów twych promienistych, jak szron ucepione, przynosisz mi okrucy rozbitych kryształów gwiazdowego dźwięku i srebro anielskiego głosu... które wpadają mi do ucha... i które ja naśladuję moim świergotem leśnego ptaszka w w białym krzaku marcowej tarniny.

Marja Gr.-K

„Drogi Panie! Słyszałam przypadkiem Waszą rozmowę. Przysięgam, że przypadkiem tylko. Muszę opuścić Wasz dom. Dziękuję z całego serca Panu i Cioci za wszystko, co uczyniliście dla mnie. Nie zapomnę i pragnę najgoręcej móc się odwdziżyć Wam za wszystko dobre, świadczony opuszczonemu dziecku.

Nigdy nie zapomnę, jaki pan był dobry dla mnie i że kochał mnie, jak swoją, rodzoną.

Ciocię przepraszam za wszystkie przykrości, jakie jej mimowoli wyrządziłam. Naprawdę — mimowoli. Nigdy nie chciałam być złą dla nikogo z Was. Żegnam z wielkim żalem Manusię i Belcię i Nineczkę moją najdroższą ściskam z całego serca.

Idę w świat. Nie gniewajcie się na mnie.

Ręce Cioci i Pana całuję ze czcią i uszanowaniem.

Wanda“.

Sokołowski, jak dziecko, płakał, czytając ten list. Narobił straszego gwałtu, rozesłał ludzi we wszystkie strony. Konnego pchnął do miasteczka. Wrócili gońce z wiadomością pewną, że „panienka“ przed świtaniem poszła na wieś, najęła konie i kazała się zawieźć na stację, akuratnie, jakby na ranny pociąg do Warszawy.

Sokołowski nie dał za wygraną. Postanowił, że odszuka ją w Warszawie i z powrotem sprowadzi do domu.

— Widzicie—mówiła Sokołowska do córek — oto wdzięczność! Dopóki potrzebowała domu i opieki, była u nas, teraz, gdy była nam potrzebna, gdy mogła stać się pożyteczną, zapragnęła wrażeń i uciekła!...

— Przecież mówiłaś sama, że powinna wynieść się, że jest nam tylko ciężarem—wybuchnął Sokołowski.

— Ach, ja mogłam mówić, ale ona powinna była to rozumieć inaczej...

Sokołowski ruszył ramionami i wyszedł, trzaskając wszystkimi drzwiami, aż się po całym rozlegało domu.

Już teraz nigdy nie miało być w Gostkowie spokoju i ciszy.

Panna Anna studjuje z zapałem socjologię. W mieszkaniu jej odbywają się (oczywiście potajemnie) wykłady sławnego profesora; schodzi się na nie młodzież uniwersytecka i panny bardzo postępowe, samodzielne, emancypowane...

Panna Anna nie dopuszcza, by na jakimkolwiek polu wyprzedzali ją młodszy. Zawsze idzie z duchem czasu, z postępem. I teraz, obłożona dziełami z tej nowej dziedziny wiedzy, robi gorliwie notatki, układa streszczenia, przeprowadza porównania między różnymi teoriami. Pracuje, jak zwykle, bardzo sumiennie, dokładnie i gruntownie. Lecz po jakimś czasie—rzecz, prawdziwie u niej niezwykła—ogarnia ją coś w rodzaju znużenia, czy niechęci do pracy. Wprawdzie późny już wieczór, ale panna Anna przywykła do czuwania nocami. Dzień ma wypełniony pracą zarobkową—noc dla siebie.

Kilka razy już podnosiła się od biurka. Chodzi po pokoju... jakiś niepokój bez zrozumiałej przyczyny...

Panna Anna nie lubi takich stanów i nie poddaje się im.

Przezwycięzła znużenie, usiadła przy biurku i pracuje gorliwie.

Nie wiedziała, kiedy podniosła się i znów chodzi po pokoju...

Teraz uświadamia sobie całkiem wyraźnie, że ma ochotę wyjść, tak, wyjść na ulicę.

Spojrzała na zegarek.

No, bramy jeszcze nie zamknięte; możnaby przejść się—pomyślała.

Włożyła natychmiast kapelusz i zeszła na dół. Mieszkała na Nowym Świecie. Postanowiła iść w stronę Krak. Przedmieścia, by zobaczyć, czy na wystawie u Gebethnera jest już zamówione przez nią niemieckie dzieło o socjologii. Wyszędłszy na ulicę, zapomniała o tem postanowieniu i skierowała się w stronę przeciwną, ku Alejom Ujazdowskim. Na placu Trzech Krzyży przypomniała sobie o Gebethnerze, ale nie zawróciła już. Szła prosto przed siebie, jakby automatycznie. Coś ją niosło.

Wszędłszy w zacienioną mocno część Alei, zwolniła kroku i rozglądać

się zaczęła po ławkach, na których tu i owdzie siedzieli jeszcze, używając wieczornego chłodu, spacerowicze. Na jednej z tych ławek zatrzymała jej uwagę nie po miejsku ubrana panienka. Małe zawiniątko leżało obok niej na ławce. Oparta o nie łokciem, spała. Światło latarni padało na bladą twarz uśpionej. Ta plama świetlna przyciągnęła wzrok panny Anny. Przystanąła i zaczęła przypatrywać się tej osobce.

Była bardzo blada i mizerna, oczy podkrążone sinemi obwódkami, usta drgające, jakby zasnęła, płacząc...

...Jakaś obca, która nie wie, co robić ze sobą... określiła sobie w myśli sytuację nieznaną.

Gdy tak stała przed nią, zaczęły pannie Annie nasuwać się jakieś wspomnienia. Jeszcze chwilę spoglądała na uśpioną panienkę... i nagle uświadomiła sobie:

Przecież to Wanda Malczewska! Przysunęła się bliżej i pochyliła nad nią, pełna zdumienia.

Dziewczyna, jakby pod wpływem utkwionego w nią wzroku, zbudziła się nagle, podniosła, wyciągnęła ręce i rzekła z westchnieniem ulgi:

— Ach, tak długo czekałam na panią!—potem opadła znów na ławkę i przechyliła głowę przez poręcz... Panna Anna, chwyciwszy ją za ręce, chciała podnieść. Nie mogła; dziewczyna zwiśla bezwładnie. Zrozumiała, że to omdlenie.

— Co to?... Co tu?... wybiegły jej na usta urywki zdań... Potem zawołała: wody!

Zbliżyli się jacyś przechodnie, podjechała zapóźniona dorożka. Ułożono na niej Wandę i panna Anna za brała ją do siebie. Gdy nazajutrz pomyślała, jak dziwnie odbyło się to wszystko, było jej nieprzyjemnie. No wypadek! — oczywiście — ale dziwny wypadek!

Przez długi czas nie mogła dowiedzieć się p. Anna co zaszło, skąd wzięła się Wanda w Warszawie?... sama?... Dziewczyna bowiem zaraz w nocy dostała silnej gorączki, a przywołany nazajutrz lekarz stwierdził zapalenie mózgu.

Z jakimś, osobliwym dla niej, macierzyńskim uczuciem pielęgnowała Wandę dawna jej nauczycielka. Bywały chwile niebezpieczeństwa, w których przychodziło na myśl pannie Annie, że trzeba napisać do Sokołowskich. Wstrzymywała ją jednak przypuszczenie, że nie bez bolesnego jakiegoś konfliktu nastąpił wyjazd Wandy z Gostkowa. Utwierdzały ją w tem mniemaniu gorączkowe maja-

czenia chorej, mające w sobie chwila-mi wielką siłę dramatycznego napięcia.

Aż pewnej nocy nastąpiło przesilenie i już całkiem przytomna powiedziała Wanda do, kładącej jej łód na głowę, panny Anny jedno jedyne słowo objaśnienia:

— Uciekłam! — poczem zapadła w długi kilkunastogodzinny sen.

Ciemno było już w pokoju, gdy Wandę zbudził gwar młodzieńczych głosów. W pierwszej chwili nie wiedziała gdzie jest. Bardzo jeszcze osłabiona, wstawała wprawdzie, ale większość dnia spędzała na kanapce panny Anny, pogrążona w jakimś rodzaju pół snu, pół jawy.

Ciemno było, ale światło dochodziło z uchylonych drzwi sąsiedniego pokoju, a ze światłem wpadał gwar pogmatwanej dyskusji i słowa obce, nieznanne, niesłyszane dotąd: „walka klas“, „burżuazja“, „prawo strejku“, „solidarność proletariatu“, „kapitalizm“ powtarzały się najczęściej. Mówili wszyscy naraz i w głowie chorej dziewczyny wytwarzał się z tego jakiś bolesny chaos. Wtem ktoś zanucił, ktoś inny uderzył w klawisze i, młodzieńczymi śpiewana głosami, poniosła się melodia jakaś ogromna, potężna... słowa urągały tyranom, nuta pieśni huczała nienawiścią śmiertelną...

Wanda podniosła się i, nieuczczona, z włosami, puszczone wolno na ramiona, w czarnym szlafrocisku panny Anny, jakby urzeczona pieśnią, weszła do pokoju, gdzie kilkunastu młodych ludzi toczyło przed chwilą zasadniczą dysputę.

Blada, widziadłana oczom ich zjawiła się niespodzianie w kręgu lampy, i oparta rękami o stół, pochyłona naprzód, jakby nasłuchiwała odpowiedzi, rzuciła im głuchym głosem:

— Kto wy jesteście?

Zjawisko było tak osobliwe i taka siła suggestywna w tem pytaniu, że całkiem serjo i z pewnem wzruszeniem nawet, odpowiedział jej ktoś:

— Jesteśmy ci, którzy przyjdą...

— Buntownicy, rewolucjoniści?— badała, myśl natężając, Wanda.

— Mściciele krzywd odwiecznych!

Otoczyli ją kołem zaciekawieni, rozbawieni trochę, a najstarszy z pośród nich, wysoki, o wybitnie semickim typie, podniecony sytuacją, począł improwizować agitacyjną mowę:

— Towarzystwo nieznanne!— rzekł— jesteśmy wrogami sytego brzucha! Nie chcemy, by syty panoszył się nad głodnym, by silny gniótł słabego. Niesiemy światu sprawiedliwość, równość, równy podział bogactw, powszechny obowiązek pracy. Wiemy, że nowego porządku dobrowolnie nie przyjmą syci, więc głosimy walkę klas... Z czarnych podziemi kopalń, z czerwonych czeluści hut wyjdzie lud roboczy, podniesie sztandar czerwony, czerwony od krwi ludu...





ZOFJA ROŚCISZEWSKA

## Z CYKLU „MOJE DZIECIŃSTWO”

## DZIADUNIO

*Jak dziś pamiętam salonik mahoniowy,  
Szafy z książkami, biurko i stare portrety,  
Stół okrągły, a na nim listy i gazety  
I w złotym nimbie lampy srebro jego głowy.*

*Jak dziś pamiętam, jakie wiodły się rozmowy  
Między dziadkiem i wnuczką, tajemnie, bezgłośnie,  
Kiedy mówił, że Polska znów wielka urośnie  
I duszę mi porywał gorącemi słowy.*

*Za oknem była zima, śniegowe kobierce,  
Śnieg uginał ramiona świerkowych gałęzi,  
On mówił, że Polski Duch, choć na uwięzi,  
Żyje i żyje wielkie, mocne Polski serce!*

*I ożywało wszystko w tem opowiadaniu,  
I wszystko przed oczami stawało wyraźnie,  
I krew, przelana ongi, i Sybiru kaźnie,  
I 60-te lata, kiedy mówił o powstaniu!*

*Śluchało serce dziecka... jak czerwona wstęga  
Przesuwały się zwolna dawne opowieści,  
I karmiła się dusza chlebem, co moc mieści!  
Miłością kraju świętą, co w niebiosą sięga!*

## BYŁY WIĘCCE PIWONJI...

*Były wieńce piwonji czerwonych dokoła dziedzińca,  
Pełnych, czerwonych piwonji...  
Pamiętam deszcz płatków na ziemi  
Późną wiosną w chwili ich agonji...  
Były jeszcze irysy żółte i niebieskie w tym ogrodzie,  
A grzybienie i rzęsa na wodzie  
Sadzawki...  
Były białe, znane dobrze ławki,  
W letnie upały  
W drzew cieniu cicho czekały...  
Było słońca i ciszy tyle, jak nigdzie na ziemi,  
W ogrodzie mego dzieciństwa.*

*Były lustra w ramach o zczerniałej pozłocie,  
Dywany w dziwne, perskie arabeski,  
Wiosną dmuchawce i stokrocie  
W trawie,  
Na klombach barwinek niebieski,  
W posadzkach szpary, gdzie gubiło się paciorki przy zabawie  
Cenne, jak rzadkie klejnoty córki królewskiej...*

*Były balkony, spowite w girlandy dzikiego wina,  
I słupki balkonów zmurszałe,  
ukryte w caprifolium białe,  
Co w maju kwitnąc zaczyna  
I pachnie, jak kwiaty w raju...  
Były źródła, cicho bijące, czyste, jak dusze dziecinne,  
Wszystko było jasne, dobre, niewinne, —  
Takie inne,  
Jak wszędzie na świecie,  
W dzieciństwa mego kraju.*

## ZABAWKI

*Przyjechały wszystkie z miasteczka  
Do maleńkich kapryśnych dzieci,  
Przyjechały w dzień zaśnieżony  
Z najbliższego, żydowskiego miasteczka:  
Niepodobna do owieczki — owieczka,  
Owdowiały pajac, w pasy, bez żony,  
Lnianowłosa, drewniana laleczka  
I brunatny niedźwiedź oswojony,  
Prowadzony na srebrnym łańcuszku;  
Wszyscy goście, w jednym pudle schowani,  
Z zaśnieżonych wysypali się sani,  
Należały potem do rodziny. —  
Lalce twarz się myło z porcelany,  
Kiedys, z wodą gorącą, bez śladu  
Znikł rumieniec jej bardzo rumiany;  
Dostawała czasem trochę obiadu,  
Obchodziło się ich imieniny,  
Do pacierza klękały przy łóżku,  
Pajac z lalką spali pod poduszką,  
Niedźwiedź z owcą nocowali na ziemi  
I oczami paciorkowemi  
Co dzień szczęście przechodzące widziały,  
Kiedy kładło dzieciom ręce  
Na głowy —  
Brzydka lalka w perkalowej sukience  
I pasiasty pajac owdowiały,  
I owieczka, co głos miała beczący,  
I gbur niedźwiedź, swą brzydotą grzeszący  
Bronzowy.*

GRAZIA DELEDDA

1)

## SENTYMENTALNA NOWELKA

Przeł. z włoskiego J. D.

Nocy gwiazdziste i ciche,  
Pełne słodkich czarów,  
Czemuż ja nie miałabym  
Mieć pięknych snów?  
Czemu tam szczęśliwi  
Śpią i kochają,  
A mnie, nocy, czemu mówicie,  
Że umierać muszę!

Mały żołnierz, śpiewający te wyrazy na nutę „Lunatyczki”, zbliżył się do bramy koszarowej. Serafin obrócił się mimowoli, zdumiony, gdyż w tej właśnie chwili, jak to mu się przytrafiało często, myślał o samobójstwie. Myśl ta, która wydaje się tylko straszną tym, którzy się nigdy nie zabijają, była mu niejako ostoją.

„Na co żyć, myślał. Mam lat dwadzieścia i jestem ubogi, anemiczny, nieszczęśliwy. Nie mam ani talentu, ani woli, ani pieniędzy. Napisałem raz nowelkę, ale dziennik, do którego ją posłałem, zwrócił mi ją bez ceremonii. Nie miałem nawet nigdy tego zadowolenia, by posiadać piękne, czarne ubranie. Rodzina moja jest tak biedna, że z wielkim wysiłkiem dała mi możliwość ukończenia szkół średnich. Obecnie jestem nauczycielem, a po odbyciu powinności wojskowej czeka mnie prawdziwie „świetna karjera”. Lepiej umrzeć doprawdy”.

Mówił sobie „lepiej umrzeć”, jak kto inny mówi „chodźmy!”, gdy chce opuścić miejsce, gdzie mu nudno.

Nie był ani ambitny, ani próżny; dobry w gruncie i skromny, miał jednak wspaniałe pragnienie: chciałby przed śmiercią spełnić jakiś czyn, świadczący o jego odwadze, a przynajmniej nadać swej dobrowolnej śmierci pozór poświęcenia. Myślał też, żeby się zakochać w jakiejś pięknej i bogatej pani lub wielkiej artystce zameżnej i uczciwej. Te panie odpłacałyby mu wzajemnością, ale moc nieprzewidywanych trudności stawała na drodze. Wtedy on ginął śmiercią samobójczą. Chciałby się zakochać nawet bez wzajemności, by śmierć jego miała pozór samobójstwa z miłości.

Ale co go najwięcej martwiło, to przekonanie, że jego sny poetyczne nigdy się nie sprawdzą; los ubogich pozwoliłby mu umrzeć tylko z nędzy, niemocy moralnej lub, co najwyżej, z rozpacz.

\* \* \*

Tego wieczora był właśnie w okresie takiego sentymentalnego rozstroju i myślał o śmierci, jak o słodkim śnie, długim, głębokim, w nocy bez jutra.

Miejscowość, w której przebywał od tygodnia, powiększała jeszcze jego nastroj melancholijny. Były to

koszary i dom poprawczy na wzgórzu samotnej wysepki. Wieczór jesienny, jasny i cichy sprawiał, że wszystko dokoła było smutne. Morze puste, błękitno-złote odbijało światło błękitnawego zmierzchu.

Aż do podwórza koszar dochodził szmer, potrząsanych przez wiatr trzciny i akacji wzdłuż wybrzeży wyspy; nic smutniejszego nad ten szmer tak chłodny. Żołnierze, zgromadzeni na wielkim podwórzu koszar białych i niskich, jak wiejskie domki, musieli widocznie odczuwać mniej lub więcej smutek i tęsknotę tego wiatru jesiennego, gdyż śpiewali długie, tęskne piosenki:

Żegnaj na zawsze domu szczęśliwy,  
Słodki przybytku szczęścia i miłości.

Od bramy Serafin obejmował wzrokiem drogę spadzistą, brukowaną między dwoma murami, a w głębi otwarte drzwi i wewnątrz żółtawej, opustoszałej obergerzy. Stary ksiądz o białej i tłustej twarzy, wspinał się drogą, oddychając ciężko i podnosząc sutannę. Doszedłszy do bramy, zatrzymał się i przywitał.

— Dobry wieczór! Czy jest dyrektor?

— Tak, proszę księdza — odpowiedział mały żołnierz, podnosząc rękę do czoła.

— Czy bardzo źle z tym skazańcem? Co się stało? Wszak rano wszyscy byli zdrowi?

— Tak jest, atak paralityczny.

— Dobry wieczór! — rzekł stary ksiądz, śpiesząc dalej i podnosząc sutannę jeszcze wyżej nad wyblakłe, niebieskie pończochy. Serafin z towarzyszem, studentem wszczęli rozmowę, jak to robili często. Serafin postawił zapytanie, dlaczego ludzie, skazani na długie kary i chorzy nieuleczalnie, nie rozumieją, że powinni by pozbawić się życia.

Student odpowiedział, że tak jedni, jak i drudzy spodziewają się albo końca kary, albo wyzdrowienia.

— Cóż chcesz, życie jest piękne! — wykrzyknął z oczami błyszczącymi radośnie. — Wystarczy żyć, by zwyciężyć. A widzisz, im bardziej się jest chorym lub skazanym na ciężkie roboty, tem bardziej się kocha życie.

— Gadanie! Życie bez zdrowia, bez swobody, bez środków, to pęk morski z połamanymi skrzydłami — rzekł poetycznie Serafin.

— Ja mam liche zdrowie — odrzekł tamten — jestem wykolejony, obecnie muszę służyć w wojsku, a jednak jestem rad życiu. Gorzej temu, kto jest niezadowolony.

Serafin chciał mu odpowiedzieć, że jest niedojrzały, ale nie chciał go obrazić.

Głos ochrypli, jak krzyk koguta wpadł nagle między rozmawiających żołnierzy.

— Abate!

— Obecny!

To sierżant rozpoczynał apel. Wieczór zapadł szybko: na zachodzie niebo przybrało ciemny kolor fioletowej stali, pomiędzy drżącymi akacjami ukazywało się gdzienigdzie morze, podobne do płyty złota o odcieniu fioletowym, które zdawało się błysnie własnym światłem.

Światelko migotało w głębi ulicy, w obergerzy. Chwilami wiatr uciszał się, a wtedy silniej brzmiały głosy żołnierzy, odpowiadających na apel, jedne świeże i śmiałe, inne ostre, ironiczne. Głos Serafina brzmiał, jakby przyleciał z odległości, z wiatrem, niosącym westchnienie od trzciny i oliwek.

Po apelu żołnierze zaczęli znów śpiewać; w tym surowym i prawie dzikim śpiewie brzmiało coś dziwnego. Zdawało się, że krzycząc, chcieliby zapomnieć o smutku i losie swoim, wygnańców w tem pustkowiu, w tem miejscu kary. Najwięcej krzyknęli ci, którzy w ciągu nocy mieli mieć straż nadbrzeżnej wyspy. Jeden Serafin milczał.

\* \* \*

Około godziny jedenastej znalazł się na straży w miejscu, gdzie ulica, dotąd wciśnięta między mury, otwierała się nagle ponad olbrzymiem zbożem, toczącym się ku morzu.

Wiatr ustał, ale zimne powietrze, przesiąknięte zapachem morza, i noc gwiazdzista przypominała piękne noce zimowe. Zielone światelko latarni, które błyszczało, jak oko złośliwe, przed wyspą skazańców, rzucało olbrzymi pas szklisty na ciemne morze.

Pod rafą Serafin ujrzał obraz niezwykły: czarną łódź, oświetloną acetylenem, a w niej poławiacza ostryg (z tych, co mają specjalne pozwolenie na zbliżenie się do wyspy). Był chudy, ubrany w siatkę czerwoną; wyglądał, jak djabeł w magicznym kole mocnego światła.

Pozatem nic, oprócz dalekich światłek na końcu ciemnego lądu i gwiazd na ciemnym niebie.

Jak zwykle, gdy stał na warcie, zapytywał się z goryczą, on, który czytał był Tołstoja, kto go zmuszał do tego; dlaczego słuchał siły bezrozumnej, potwornej, uosobionej w ludziach niższych od niego, w chłopie, kapralu, sierżancie cyruliku, którzy go zmuszali, aby czuł, nieczuły i złośliwy, jak światło latarni nad przepaścią, o którą rozbiły się nadaremnie fale morskie.

(c. d. n.).

7)

MARJA GROSSEK-KORYCKA

## E M I L V E R H A E R E N

Banku, ty duszo matematyczna świata! w której się legną najstarsze żądze. Wszystkie namiętności w walce i szale do twego rytmu fatalnego dostosowywać się muszą lub cichną i zginają się nagle przed zimną twą pychą. I wszystkie kanalizują się w sieciach linii, w twoich karnetach, obrzezane cyframi i znaczkami!

Podstęp, podłość i występki—zapał, praca i zgryzoła, jak zepsute powietrze, wchłonięte wpadają w twe płuca. Wszystko oddycha w tobie, spala się tam, lub ulega wydechowi. Czasu brakuje na odróżnienie praw od nadużyć i krzywd od praw. Wszystko jest stopione w życiu cierpkim i tryumfującym: w złocie!

Okienka komtuarów, pod zielonym abażurem — tysiące rąk, gryzmołających kartę białą, wy kierujecie życiem, oświetlając morza od Antylli do Capu i od Capu do la Manche. W palcach swych ścisłani siłą niezmierną. Ludzka odwaga pod waszemi skrzydłami się ośmiela. I trud, i żarliwość, i wściekłość, i przerażenie się oblicza. I wysiłek młota i skoki kowadła. Wy zapisujecie uderzenia kilofa w kopalniach i w lasach, i kroki tragarza, zgiętego pod pakunkiem, i kłus podróżnika w rudych karawanach. Olbrzymie wasze księgi przesiąkły wonią posępną—w nich piętrzy się pycha sum chimerycznych, nasycana codziennym niezmiernym potem, który perli się na bulwarach Azji i płynie w dokach afrykańskich. Tam, w dole na olbrzymim placu ze szczytu wielkich dachów okrągłe oka ze szkła panują nad oceanami od bieguna do bieguna.

O, deszczu potworny, rozpylony na cały świat! O, legendo starożytna! O, ciało Danae. O, niebo, płonące ogniami i gwiazdami, które pochylacie się w nocy nad omdlałym światem. O, wirze złota, hallucynujący żrenice!

Złoto: wymiana i podbój. Złoto: słońce powszechne — soku życiowy, wznoszący się do szczytu i spływający do korzeni. Od lasu do lasu, jak krew nieśmiertelna. Złoto: spójnio narodów po przez granice, raz dla walki, drugi raz dla zgody—lecz spójnio zawsze dla jakiegoś nieoczekiwanego porozumienia.

Dzięki złotu człowiek pewnego dnia podniósł głowę, aby niezmierną stała się jego zdobyczą.

Któż nie zna „Jutrznii“ Verhaerena, jego sławnych *Les Aubes*, tłumaczonych na wszystkie języki?! Któż nie wie, z jakim entuzjazmem mówi o ludziach i ich żarzącej, a błogosławionej pracy w niezliczonych strofach i poematach swego olbrzymiego dzieła?!

W wierszu *Wysiłek* (*Forces tumultueuses — L'effort*) zwraca się

z apostrofą serdeczną do wszystkich, pracujących rękami, aby w zakończeniu uheroizować wszystkie rodzaje ich pracy:

Kocham was, chłopcy; ras jasnowłosych piękni, poganiacie ciężkich zaprzęgów, koni rżących i wołów siwych—i was rudzi drwale z lasów żywicznych—i ciebie stary, zmurszały wieśniaku, który pełną garścią rzucasz ziarno w rolę, gestem wprost przed siebie, aby, nim w ziemię zapadnie, pożyło sobie chwilę na powietrzu—i was, żeglarze, przebiegający morza dalekie—i was jeszcze, poszukiwacze kruszców olśniewających—was, górnicy w korytarzach podziemnych, pełzający z lampą elektryczną w zębach—i was, nareszcie kowacze spiżu i kowale żelaza. Wszystkich was, potężnych i braterskich, ogarnia w sobie moje serce! O, ta praca wasza surowa, zacięta i twarda! — która zaciska swe węzły i zlutowuje łańcuchy od końca do końca przez wszystkie kraje, dookoła ziemi. O, gesta jej zuchwałe, o, dłonie i ramiona, podane sobie po przez straszne przestrzenie, aby wycisnąć na ujarzmionej naturze pieczęć sił ludzkich i władzy — która przetworzy góry, morza i lądy według rozkazów nowej woli.

Na jakiej płaszczyźnie utwory takie, jak zacytowany powyżej *Wysiłek*, pozwalają się zsyntetyzować w jedno organiczne dzieło tego samego twórcy z poematami nitscheańskimi: „Złoto“ albo „panowie“?

Verhaeren nie należy do kategorii estetów o zimnym sercu, którzy zbierają zewsząd elementy piękna, nie dbając o pochodzenie, byle im pasowały do ornamentu. — On może dlatego potrafił stopić w sobie tyle kontrastów, że sam ze sobą był zawsze w zgodzie. Verhaeren nie umiałby wielbić, jako poeta, to, czego by nie uznawał, jako człowiek.

Verhaeren jest Czciwielem Potęgi—Potęgi poszukuje wszędzie, aby ją uczcić we wszelkiej jej postaci, nawet zła, wierzy bowiem, że genjusz ludzkości wyzyska i jej wysiłek ku dobru w przyszłości. — Uwielbienie potęgi oto jest ta płaszczyzna, na której pozwalają się zsyntetyzować w organizm jednego dzieła wszystkie djаметralnie przeciwne sobie promienie Verhaerenowskiej twórczości. Niesłusznie uważanym bywa za trubadura socjalizmu. Tak mogą mniemać ci, którzy poznali tylko jedną szybką z tego wielościennego kryształu. Poetyzuje on z równym entuzjazmem Lud i jego Tyranów—Pracę i wyzyskującą ją Złoto. — Zdaje się nic o tem nie wiedzieć, że dwa te światy są ze sobą w żarzącej walce na śmierć i życie. Bankier, bussinesman, i leader par-

tji—przewrotny bohater polityki—zimny bohater kapitału—spracowani rybacy—palacz okrętowy—kowal—robotnicy fabryczni i marynarze — dla Niego są to tylko równorzędne Siły Życia: jego Wieloraka Wspólniałość, z których współdziałania, zarówno jak z walki krwawej i ściernia się powolnego, wyłoni się mierznie zwycięskie Jutro Świata, co raz to wyższe, świetlistsze, bliższe Bóstwa.

Verhaeren wierzy, że dwie te połowy naszej Współczesności, toczące ze sobą krwawe zapasy, znikną kiedyś, stopione w jakiejś nieznannej nam dziś prawdzie, w jakimś dla nas nieodgadnionym kompromisie — wydając wyższą ludzką oś.

Niech lepiej mówi sam Verhaeren:

(*La conquête*)

Dziś Złoto żyje i oddycha w człowieku, jest jego upartą wiarą i twardym aksjomatem, krąży siną błyskawicą dookoła jego oblędu, nadgryza mu serce, psuje jego dobroć, kładzie bielmo na oczy boskiej piękności. Ale dzięki jemu człowiek pewnego dnia podniósł głowę, aby niezmierną stała się jego zdobyczą. Dzięki niemu metale są błyskawicznymi przewodnikami myśli po przez szalone wichry i przez wściekłe morza, podobne do przeciągniętych nerwów jakiegoś potwornego mózgu, i wszystko zdaje się ulegać jednej woli.

Złoto jest więc rozgrzeszonym z win swoich za to, że ono cementuje i organizuje ludzkość w jeden blok ku podjęciu tytanicznych przedsięwzięć.

Renta i praca—poddanie i władza — nienawiść i miłość — pycha bogactwa i upokorzenie nędzy—ataki i cofania się—porażki i zwycięstwa—oh, jak ta godzina wibruje, jak dygoce od tych wszystkich rytmów sprzecznych! Miasto, wsłuchane w was żyje waszym życiem, od bruków do pałacowych frontonów i szczytów dźwięczy wami, waszą żałobą i waszym świętem wstrząsane. Rozwiane chorągwie furkocą waszym szaleństwem. Miasto jest tak stare, napatrzyło się na tyle cierpień życia—tyle razy na swoją zajadliwość w proch wdeptaną—tyle razy na swoją siłę ujarzmioną, że go już nic więcej nie obchodzi, oprócz tego najstarszego chociażby gestu, ale który w przyszłość zmierza—i tylko ten podejmuje, ten podnosi, pragnąc po przez wszystkie, bodaj wbrew swoim bogom, swojej chwale i przeszłości, z roku na rok, z epoki w epokę, wciąż tragicznie, elektryzować się i żyć duszą niebezpieczną, świetną, a zawsze co raz inną i wciąż nową!!

(c. d. n.).

16) Z CYKLU: „PROFILE ROMANTYCZNE“

## MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824—26)

## IV.

Z półrocznej podróży swojej po Francji i Anglii, wrócił Confalonieri, bogatszy o cały skarb przemyślanych i przeżytych wrażeń. Ten ruchliwy umysł przeszedł nową ewolucję. Objazd Włoch w roku ubiegłym nasunął mu już był głębokie refleksje. Nie mógł, wzorem naiwnych entuzjastów, jak Berchet, Pellico lub wiecznie młody pod siwym włosom Porro, zamknąć oczu na fakt, że kraj jest jeszcze zupełnie nieprzygotowany do walki o niepodległość, że lud jest straszliwie ciemny, a sfery wyższe rozleniwione. Nie mógł się pocieszyć wiarą w tajemniczą moc podziemnych sekt, choć sam teraz w Anglii do loży masonskiej przystąpił. Odpychały one jego umysł dziecienną teatralnością i niejasnością programu.

Zapatrzywszy się na Anglię, ujrawszy, ile tam stworzyć zdołała inicjatywa społeczna, powziął on wielki plan: „Zrobić z Półwyspu Europe!“ Odsuwając na razie hasło walki czynnej, przerobić z gruntu psychikę narodu, uniezależnić go ekonomicznie, przeprowadzić zjednoczenie moralne rozdanych dzielnic tak, aby kiedyś granice odpadły, jak skorupa gliniana!

Ogromny plan, przewyższający zda się siły nie tylko jednego człowieka ale i jednego pokolenia.

Confalonieri rzuca w te prace całą kipiącą w nim żądę czynu, całą energię swego bogatego intelektu, cały ezar, którym ujarzmił ludzi i czyni z nich sobie powolne narzędzia i entuzjastycznych wyznawców jego idei.

W pałacu na Monte Pietà tworzy się jakby nielegalne ministerstwo oświaty i kultury, przemysłu i robót publicznych. Wszystko, co się tam projektuje i tworzy, czy to będzie plan żeglugi parowej, łączącej rzekę Po z Adriatykiem, czy założenie teatru w Medjolanie, czy zdemokratyzowanie kasyna szlacheckiego, czy wreszcie dzieło największe, wzięcie w rękę oświaty ludu. Wszystko jest walką nieustanną z „Chińszczyzną, bigoterją i zacofaniem“ wrogiego rządu. Zawsze, oprócz Lombardji, myśli się o całej Italji.

Z jakże gorącym sercem, z jaką niestrudzoną pracą staje u boku męża ta, o mało lekkomyślnie nie odrzucona, towarzysza. Chcąc opisywać dzieje pani Teresy w tych latach, trzeba koniecznie znać historję zamierzeń jej męża, tak dalece jest ona jego wiernym cieniem, mało: ręką prawą.

Co najbardziej jej przypada do serca, to szkoły t. zw. Lankasterjańskie, polegające na metodzie wzajemnego nauczania, jakie Fryderyk poznał w Anglii, i pragnie przeszczepić na grunt Południa. Dusza nawskroś macierzyńska, wciąż w milczeniu nad swą bezdzietnością bolejąca, tu znajduje dopiero właściwe pole do działania. Pomyśleć tylko, zebrać te wszystkie zaniedbane, wpółdzikie, choć nieraz anielsko piękne, główki dziecinne, jakie widywało się nieraz w przelocie, wśród kurzu wielkowiejskiej ulicy lub na zarośniętych trawą ścieżkach wiejskich, oddane na łup nędzy, ciemnoty, zepsucia, nakarmić je wszystkie, jak chlebem najzdrowszym, nauką szlachetną, która wyrobi w nich nie tylko wiedzę, ale charakter, obudzi szlachetną ambicję, wykluczając przymus i kary cielesne, i kiedyś wychowa z młotłochu — obywateli! A najbardziej radują ją projektowane szkoły dla dziewczynek, które mają wzorem teorii Rousseau'a chować przyszłe „matki patriotów“.

To też wie ona i myśli o wszystkim. Sama kupuje tablice, kajety, ołówki dla pierwszej szkoły bezpłatnej, która ma objąć 600 dzieci ze sfer najuboższych w Medjolanie. Rodzice z początku ociągają się z zapisywaniem dzieci, bo ktoś im powiedział, że „chłopców wezmą potem stamtąd do wojska“, ale wnet przekonują się o dobrodziejstwie szkoły i odtąd nie można wystarczyć prośbom. Niestrudzony apostoł oświaty, Hjacynth Mompiani, „anima angelica“ nie może się dość nachwalić roboty pani Teresy. „Poleć mię pamięci Twej żony (tylko nie zapomnij!) — pisze do Confalonieriego z Bresscii — To dopiere mądra, dobra i mężna niewiasta!“

Rząd austriacki rozumie dobrze, że tu idzie walka o dusze, więc każdą



koncesję trzeba zdobyć przebojem. Nawet kwestja tak prozaiczna, jak przeprowadzenie oświetlenia gazowego, do którego pali się Confalonieri, marząc o czemś jeszcze doskonalszem, o elektryczności — urosła do znaczenia symbolu i staje się przedmiotem zajętych sporów.

Hrabia projektuje budowę ogromnego bazaru w centrum miasta, który był miejscem rozrywek i kulturalnych instytucji, łączących wszystkie klasy społeczeństwa, chce go oświetlić gazem, który dla tej grupki nowatorów jest symbolem światła w ogóle i postępu. Z drugiej strony konserwatywne sfery rządowe i towarzyskie, nawet stare ciotki Confalonieriego, widzą w tym nowomodnym wynalazku poprostu djabelstwo.

Z gorączkowym pośpiechem, jakby wiedząc, że mało czasu ma przed sobą, pracuje niestrudzony działacz. Ledwie jedną robotę skończył, drugą zaczyna. Czasem smutno mu się robi, gdy spojrzy wokoło siebie i widzi, jak małą cząstkę wielkich zamierzeń daje się urzeczywistnić. Pociesza go zacny przyjaciel stary kanonik, Lodowico de Breme z Turynu: „Drzewo, które zasadziłeś, okryje kiedyś swym cieniem całą ojczyznę... Dojrzałość, do której doprowadzasz dusze współobywateli, może przyspieszy chwilę odrodzenia“. „Oby i w innych naszych ziemiach znaleźli się Confalonierowie! — pisze Milesi. — Imię Twoje dla mnie, to synonim: żelazna miłość i ojczyzna“.

Martwią się tylko piękne panie, bo o czem tu teraz gadać z człowiekiem, który „ma w głowie jedynie szkoły, maszyny parowe i gaz“.

Natomiast dobra księżna Karolina wybacza swemu korespondentowi obecną opieszałość, gdy takie „zacne i piękne jej powody“. Uspakają się myślą, że działalność filantropijna odwraca może „złą głowę“ z niebezpiecznych szlaków konspiracji. On sam się ludzi, że go „rząd o nic zaczepić nie może, dopóki myśli i przekonania nie podpadają paragrafom“, choć wie dobrze, że i on, i jego przyjaciele są szpiegowani i „pilnowani, jak dzikie bestje“.

Ufa, w „zwycięstwo światła nad ciemnością“ i tryumfalny okrzyk rwie mu się z rozszerzonej nadludzka pracą piersi: Zwyciężymy smoka! vincemmo il drago!

Radosnym uśmiechem odpowiadają mu wierne oczy pani Teresy.

## 4) CEL I ZADANIA PEDOLOGII

W najwcześniejszym okresie wychowania narzuca się więc przede wszystkim konieczność rozpoznania wrodzonych popędów dziecka celem brania z nich i pielęgnowania tych, które w dotychczasowej praktyce pedagogicznej okazały się sprzyjającymi, rozwijaniu cech dodatnich, przez co zahamuje się sam przez się rozwój popędów ujemnych. Najlepiej daje się to uskutecznić przez prowadzenie skrupulatne dzienniczka dziecka nie tylko od dnia jego urodzin, lecz z uzupełniającym nadto wstępem, streszczającym momenty dziedziczne, jakie ze strony obojga rodziców mogą dziecko obciążać.

Prowadzenie dzienniczka takiego, niewiele przysparzające trudu, powinno być zadaniem każdej matki, względnie wychowawczynie, dla której będzie on najprostszą i najowocniejszą drogą wzięcia się w duszę dziecka i współżycia z niem. Pedagogowie: Payer, Perez, Stern i inni, zalecający gorąco prowadzenie dzienniczek takich dla celów naukowo-wychowawczych, dają zarazem doskonałe ich wzory. W dzienniczkach tych, stanowiących najpewniejszą kontrolę wychowania, winne być codziennie notowane wszelkie przejawy cielesnego i duchowego rozwoju dziecka. Nietylko one prowadzącym je wychowawcom niezawodną pewność duchowego współżycia z dzieckiem, nietylko są na przyszłość źródłem nieocenionych wskazówek i ostrzeżeń, nietylko dostarczają ogromnej sumy miłych pamiątek i wspomnień, ale stanowią zarazem poważne przyczynki do ogólnego rozwoju wiedzy o dziecku.

Jak dalece cenione są przez naukę sumiennie i wytrwale prowadzone dzienniczki takie, najlepiej świadczy fakt udzielenia pewnej amerykańce za wzorowo prowadzony dzienniczek jej dziecka od dnia jego narodzin—dyplomu doktorskiego honoris causa. W dzienniczku takim powinno być zapisywane wszystko: każdy przejaw wzrastania i krzepnięcia fizycznego, każda zmiana, każdy objaw nowy, wszystko, co w najściślejszym kółku rodzinnym tak żywo zawsze jest omawiane, a co, nienotowane, zatraca się niepostrzeżenie.

W niemieckim czasopiśmie pedagogicznym „Der Sämann“ zachęca gorąco znany pedolog, J. Löwenberg, wszystkie matki wzgl. wszystkich rodziców do naśladowania owej amerykańki i w tym celu podaje wyciągi z dzienniczka, jakie on i jego żona prowadzą z życia własnego dziecka:

„Mały nasz urodził się dzisiaj. Jest słabem, wątłem stworzonkiem z pomarszczoną twarzyczką; wygląd ma starczy nieledwie. Waży 7 funtów. Matka uważa naturalnie, że jest za-

chwycający. O, boska natura! Nazwaliśmy go Ludwikiem, ale w rzeczywistości jest dla całego domu „małym”, „dzieckiem”.

...Dzisiaj, w 2-im tygodniu życia, ochrzczony został, niewiadomo przez kogo, imieniem: Mutschi... Powoli, ale stale, rozwija się; wyraz jego twarzy ulega zmianie niemal codziennie, zmarszczki wygładzają się. Ma już ich bardzo mało.

...W 13-ym tygodniu po raz pierwszy zauważyliśmy, że zdaje sobie sprawę z tego, co widzi, i uśmiecha się świadomie...

...W 16-ym tygodniu zaczyna gruchać; wydaje rozmaite dźwięki, pomrukuje, jak gdyby chciał coś powiedzieć...

...W 19-ym tygodniu zaczyna bawić się rączkami swojemi i nóżkami. Całymi kwadransami przypatruje się im, dotyka ich, zbliża je wzajem ku sobie, odsuwa i znów dotyka...

...Z 25-go tygodnia: Każde poruszenie sprawia mu widoczną przyjemność. Szelest papieru, puszczenie dymu z papierosa, otwieranie drzwi. Okazał najwyższe zdumienie, kiedy w jego obecności otworzono po raz pierwszy szafę. Bardzo powoli uczy się mówić, wydając dotychczas wciąż jeszcze nieartykułowane dźwięki, ale już przypominające sylaby: ma, pa, na. Najlepiej bawi się pustymi pudełkami, wogóle rzeczami, w które może coś wkładać, a potem coś z nich wyjmować...

...40-y tydzień. Zdradza wyraźny upór i jest bardzo wrażliwy. Słowo gniewne, wypowiedziane w nieco ostrzejszym tonie, obraża go, pobudza go do płaczu. Lubi, aby go chwalać: słysząc, że matka opowiada o jego umiejętności utrzymania się samodzielnie na nogach, puszcza krzeselko, którego się trzymał i pokazuje swoją sztukę stania prosto bez żadnej podpory...

...W trzy dni po drugich jego urodzinach urodził mu się braciszek. Nie chce o nim z początku nic wiedzieć. Kiedy po raz pierwszy usłyszał jego płacz, zląkł się niepomiernie.

Z 27-go miesiąca. Zaczyna mówić zdaniem i wypowiadać sądy: Taś (Tatuś) widzi; Musia (Mamusia) posia (poszła); Bebe (braciszek) piace (płacz); i t. d. Do 2¼ lat ma zasób 57 słów, z których 9 na określenie ludzi, 8 na określenie jedzenia, 12 dla sprzętów i rzeczy domowych, 5 dla ogrodowych i 4 określenia miejsc: tu, wysoko, na dole, daleko...

...Z 32-go miesiąca: Zdaje się mieć dobrą pamięć, bowiem poznaje po upływie kilku tygodni osoby, które widywał tylko przelotnie. Ma słuch muzyczny. Umie śpiewać siedem piosenek. Lubi, aby mu opowiadano: „mówić bajki”. Zna już i rozumie bajkę

o Czerwonym Kapturku i o Śnieżce i żąda, aby mu je wciąż powtarzano. Żartuje świadomie: „Pani dotolowo, Musiu! Gdzie jest Taś”? pyta, widząc ojca, siedzącego na krześle...

...3 lata. Zdradza poraż pierwszy współczucie: płacze, kiedy małemu jego braciszkowi zakładają termometr i mówi: „Boli Baby”.

...3½ roku. Zaczyna sam opowiadać bajki. Rozróżnia: wczoraj, dzisiaj, wczoraj wieczorem, jutro. Najlepiej lubi się bawić w ojca, listonosza, konduktora, grajka ulicznego.

...4 lata. Rozgląda się wszędzie ciekawemi, wielkiemi oczami. Chce wszystko widzieć, wszystko wiedzieć, wszystko rozumieć. Niema końca jego pytaniom: dlaczego?

...5 lat. Był przez kilka tygodni nad morzem na wsi, gdzie zdobywał mnóstwo nowych spostrzeżeń. Widział po raz pierwszy kury, umiejące „fruwać”, kozy, które „robią” mleko, pszczołki, „które zbierają miód” i tysiące innych rzeczy w domu, w ogrodzie, na polu i na wybrzeżu. Lubi drażnić morze, rzuca w nie kamyki, a potem ucieka: „chce mnie złapać”. Wchodzi wreszcie raz odważnie do wody i oznajmia po chwili: „Wypilem pół morza” (pierwsze świadome kłamstwo).

...6½ roku. Był pierwszy raz w teatrze. Na kilka dni przedtem radosne oczekiwanie. „Teraz jeszcze trzy razy będę spał, a potem pójdę do teatru!” Najwięcej się cieszy i dumny jest z tego, że wyjdzie wieczorem i tak długo nie pójdzie spać. Opowiedziano mu, że zobaczy na scenie bajkę o Bożem Narodzeniu. Z ogromnem zainteresowaniem śledzi bieg wypadków na scenie. Wszystko proste, dziecinne, ludzkie podoba mu się i zajmuje go; teatralne efekty natomiast, balet, dekoracje fantastyczne są mu zupełnie obojętne, nie wie, jak je ma przyjąć. Dziwi się i nie może zrozumieć, w jaki sposób ludzie tam na górze (na balkonie i galerji) mogli się znaleźć, kiedy nie widać schodów...

Umyślnie przytaczam powyższe wyjątki, aby pokazać, jak ściśle obiektywnie prowadzony być musi dzienniczek podobny, i jak ważnem jest notowanie wszelkich, drobnych napozór, i mało ciekawych szczegółów, które kumulacyjnie ujęte, dają materiał charakterystyczny dla danego dziecka, a tem samem wielce pouczający.

I u nas, w naszej literaturze pedagogicznej, dzięki pracom niezapomnianej Anieli Szycówny, były zachęty i próby prowadzenia takich dzienniczek; zapomniano o nich jednak; najgoręcej też polecić należy matkom i wychowawczynom jaknajskrupulatniejsze planowe i wytrwale notowanie wszelkich z życia ich dzieci spostrzeżeń.

(c. d. n.).

Emilja Tecka

6)

KAZIMIERZ ROGALA-KOSIŃSKI

## KOBIETA KRAJU WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA

\*)  
日本  
女  
カ  
コ  
ン  
シ  
ス  
キ

1. Czczenie Boga szczęścia w Yoshiwara. 2. Sprzedaż żywych posągów kobiecych. 3. Wygląd Yoshiwara. 4. Upadek Japonki. 5. Święta w Yoshiwara. 6. Brak zupełny obrazu rozkoszy. 7. Znaczenie Yoshiwary w Japonji. 8. Zwyczaj pisanja nazwisk i imion. 9. Jak liczą Japończycy swój wiek. 10. Pamiątka urodzin dziewcząt. 11. Pamiątka urodzin chłopców. 12. Dzieci nowonarodzone. 13. Adopcja dzieci przez małżeństwa bezdzietne. 14. Japończycy—wielkimi przyjaciółmi dzieci. 15. Święto dziewcząt. 16. Święto chłopców. 17. Japonja krajem przeciwieństw. 18. Rozwój ducha nowożytnego. 19. Wojna rosyjska przyniosła Japonji wiele zmian. 20. Rok 1905 początkiem wyteżonej pracy nad szerzeniem kultury nowoczesnej. 21. Kobieta japońska po raz pierwszy wciągnięta w świat zagadnień społecznych. 22. Rozpoczęcie walki z instytucją geish. 23. Japończycy wolny swój czas spędzają w herbaciarniach. 24. O moralność i czystość obyczajów. 25. Walka ze stosunkami rodzinnymi. 26. Walka przeciwko małżeństwom z interesu. 27. Szkoły gospodarstwa domowego. 28. Japońska I. W. C. A. 29. Kształcenie się kobiet japońskich w Ameryce. 30. O sile narodu nie rozstrzyga ilość dzieci, ale ich zdrowie. 31. Znane działaczki japońskie na polu emancypacji. 32. Przewrót w życiu towarzyskim.

W Yoshiwara Japończycy urządzają w sierpniu sklepienia z listy i wznoszą galerje powietrzne w celu uczczenia boga szczęścia. Z łona dziwnego tego miasta wznosi się ku niebu olbrzymi kolos z oczami ukosnemi, twarzą rumianą i okrągłą, policzkami, krwią nabiegłemi. Tułów jego jest tak potężny, jak tułów brązowego Buddy, przygniatającego swym ciężarem ogrody w Kamakura, ale usta jego, szeroko otwarte serdecznym uśmiechem, odsłaniają jedyne dwa zęby szczęki górnej. Jest to właśnie sam bóg.

Przed tym Molochem bezzębnym, okrutnie jowialnym, ciągną się szeregiem wystawy, otoczone kratką drucianą; tam na wspaniałych tętami w postawie kłęczącej ustawiono żywe posągi na sprzedaż. Ten żywy posąg kobiety japońskiej, od czasu do czasu strząsającej popiół z nikłowej fajeczki, oparty o kratę, podobny jest do ptaka rajskiego, który obija się bezradnie o kratę swej klątki. Niezwykle skromne zachowanie się tych żywych posągów żeńskich, pełnych młodości i słodyczy, prawie niezemskiej, zwraca powszechną uwagę. Na-

stępnie młodość i świeżość tych uroczych ofiar żeńskich dominuje ponad wszystko. Zaledwie dwie na sto w Yoshiwara posiada lat trzydzieści, a jest ich tam cały tłum, tłum pełen zdrowia, życia, urody i wdzięku, a jednocześnie przepojony skromnością, dobrocią i szlachetnością charakteru. Słowem Yoshiwara, oblana potokiem światła, z ulicami szerokimi, balkonami z jasną boazerją, lśniąca w blaskach elektryczności, posiada swe przywileje, swój język, swe uroczystości i symbole. Każdej wiosny poselstwa kobiet zsadzą drzewa wiśniowe, które wyrwyją z korzeniami, gdy już przekwitną.

Japonka zstępuje nisko, ale nigdy nie upada. Może być zepsutą, ale nigdy wyuzdaną. Zawsze posłuszną jest etykietce wrodzonej, która utrzymuje ją na pewnej wysokości. Japończycy gardzą miłością, ale nie poniżają istot, dostarczających im wrażeń i rozkoszy. Dawny ceremonjał, zachowany przy kupnie geishy, który moglibyśmy uważać za urągowisko małżeństwa, dowodzi, że nigdy nie przestają się troszczyć o pewien ideał grzeczności i poprawności.

Nieustanne święta, urządzone w Yoshiwara z rozlegającymi się daleko dźwiękami shamisej'ów, zwłaszcza w porze kwitnienia wisien, upajają wszystkich, nawet sklepikarzy, straganiarzy i drobnych mieszczan, którzy zlatują się tutaj ze wszęch stron, czasem nawet ze swemi żonami; niekiedy znów przychodzą tu same kobiety bez mężów, pragnąc przyrzec się lepiej zalotnikom, a nawet kupić od nich tajemnicę podobania się mężczyznom. Uroczystości te wywierają wrażenie jakiejś zabawy artystycznej i zmysłowej, raczej swawoli wyrafinowanej, niż orgji.

Namiętności niczem tu nie są hamowane: samobójstwa częste, jak wszędzie, gdzie żyje nędza i gdzie używanie zlewa swe strumienie. Ale nigdzie, ani w tych oszańcowanych obozach miłości, ani pod koczowniczym namiotem geish, ani w dramatach życiowych, ani w przedstawieniach teatralnych, ani w tańcach, ani w malarstwie, ani w romansach, analizowanych krytycznie, ani w zwierzeniach, otrzymywanych poufnie, nie można znaleźć nigdy obrazu rozkoszy zupełnej i tych zachwytyłów wzajemnych, w których się pogrążają jednostki, zapominając o całym świecie. W zakątkach serc japońskich pozostaje zawsze coś cierpkiego i lodowatego, coś, co nigdy nie faje. Pewien rezydent europejski, którego życie od całego szeregu lat ściśle się splatało z ich życiem, powiedział, że Japończyk ma więcej zmysłów, niż duszy, a Japonka więcej duszy, niż zmysłów. To jest zupełnie możliwe i tłumaczy nawet po czę-

ści jej rolę wiecznej ofiary. Zresztą byłoby nawet dziwnem, gdyby naród, który, o ile się zdaje, nie rozumiał nigdy najważniejszego i czystego piękna miłości, mógł doznawać najwyższych jego zachwytyłów.

Jakie znaczenie ma Yoshiwara w Japonji i jaką rolę gra w życiu każdego syna (mus'ko) kraju wschodzącego słońca jest fakt, że była, krótka co prawda chwila, kiedy chciano skasować tę menażerję, wówczas właśnie wykrzyknęła przerażona do głębi cała zmysłowa Japonja:

— Gdyby podpalono Yoshiwarę, łzy nasze ugaszą ten pożar!

Zwyczajem Japończyków jest przy podpisywaniu się wymieniać najpierw swego nazwiska (uji), a następnie imienia (nauori); należący do szlachty kładą jeszcze przed nazwiskiem nazwę rodu (herb) (kabone).

Wiek swój Japończycy liczą zawsze od pierwszego dnia roku, w którym przybyli na świat, tak, że np.: urodzeni w grudniu są wskutek tego urzędownie o rok starsi.

Pamiątkę urodzin dziewczęta japońskie obchodzą w dniu trzeciego marca, a chłopcy w dniu piątego maja. Narodzone dzieci, siódmego dnia po narodzeniu na świat otrzymują imię, trzynastego dnia gołą im głowę, a po czterech miesiącach niemowlę otrzymuje minjaturowy strój, zupełnie identyczny z ubraniem dorosłych. Dopiero po jedenastu miesiącach przestają rodzice golić dziecku głowę. Małżeństwa bezdzietne zazwyczaj adoptują chłopców, których wychowanie, jak wogóle wychowanie dzieci japońskich, jest bardzo staranne.

Japończycy są wielkimi przyjaciółmi dzieci, nic więc dziwnego, że starają się dostarczać im wszelkich rozrywek, zabaw i przyjemności. Do tych należy święto dziewcząt, czyli lalek (momono sekku albo hinamatsuri), które obchodzą niezwykle uroczysto w dniu trzeciego marca. W tym dniu różnorodne lalki, z których większa część pochodzi z dawnych czasów, znajdują się w specjalnym pokoju, gdzie wystawiane są na pokaz.

Święto chłopców (shoobuno sekku) obchodzą w dniu piątego maja nie mniej uroczysto, niż poprzednie. Tego dnia, podobnie jak w święto dziewcząt, są wystawione lalki, przedstawiające zazwyczaj rycerzy, a na długich drzewcach mieniają się od różnokolorowych barw przyrządzone wielkie papierowe ryby, zazwyczaj karpie (koi). Z okazji tego święta chłopcy otrzymują od przyjaciół i krewnych różne podarunki; szczególnymi względami cieszą się, jak zresztą i u nas, jedynacy lub sy-

\*) Tytuł i nazwisko autora.

nowie pierworodni, którzy w dniu święta chłopców otrzymują największą ilość podarunków, które przeważnie składają się z lalek-rycerzy, karp, latarni papierowych i t. p. W dniu święta chłopców w magazynach zabawek wystawiane są w witrynach lalki-rycerze, jako symbol tego święta.

Japonja jest krajem osobliwych przeciwieństw: dawnego tradycyjnego pojmowania obowiązków obywatelskich i najbardziej zaścianego konserwatyizmu. W obecnej Japonji rozwija się duch nowożytny, pełen gwałtownej żądzy nietylko dorównania, ale i prześcignięcia Europy na każdym polu i w każdym kierunku, co zresztą udaje się Japończykom z łatwością.

Wojna rosyjska przyniosła Japonji wiele zmian, a przedewszystkiem dowiodła, że siły moralnej narodu nie zastąpi potęga ani wojskowa, ani najlepsza technika.

Skutki tej wojny, aczkolwiek zwycięskiej, dla Japonji, zmusiły jednak społeczeństwo do rozpoczęcia w r. 1905 wytężonej pracy nad rozszerzeniem kultury nowożytnej.

Wówczas właśnie po raz pierwszy wciągnięto kobietę w świat zagadnień społecznych i rozumiano, że dotychczasowa kobieta japońska, w naszych pojęciach europejskich gnębiona, uważana za niewolnicę, a raczej przedmiot, niż żywą istotę, nie jest obywatelką a nie wychowawczynią pokoleń, podobną do swej siostry europejskiej. W interesie więc małżonek japońskich i matek należy rozpocząć walkę z instytucją *geish*, które w życiu Japończyka odgrywają rolę dam z towarzystwa, bawiąc go, dając mu wreszcie uczucia słodkiej rozkoszy, a nawet do pewnego stopnia i miłości, nie szczędząc swych łaskawych względów. Synowie Japonji zazwyczaj wolny swój czas spędzają z przyjaciółkami w herbaciarniach, gdzie gospodarzą *geisha*, płatne przez gospodarzy, stosownie do skonsumowanych przez gościa napojów.

O moralność i czystość obyczajów, jak również o stanowisko kobiety japońskiej walczy obecnie znana działaczka społeczna na polu ruchu kobiecego, pani *Hanyu*, która w płomiennych artykułach, ogłaszanych w całym szeregu ukazujących się pism kobiecych, występuje w obronie młodych żon, które po ślubie, wchodząc do domów męzkowskich, stają się niewolnicami świekr; zmuszone są ponadto wyrzec się swej indywidualności. Walka ze stosunkami rodzinnymi, jak np. karmieniem dzieci piersią przez trzy lata, trwa od lat kilku. Główną akcją uzdrawiania stosunków rodzinnych w Japonji jest walka, podniesiona przeciwko małżeństwom z interesu, którym przeciwstawiane są związki małżeńskie, wypływające z miłości.

Czysta teoria nie zadowoliła pani *Hanyu*, która w celu poparcia swych planów reformatorskich założyła szkoły gospodarstwa domowego,

gdzie młoda dziewczyna japońska ma możność nauczania się wszystkich czynności domowych, nie wyłączając kuchni i pielęgnowania dzieci. Szkoły te, przynajmniej, wywierają ogromny wpływ na życie społeczne kraju wschodzącego słońca.

Następną apostołką wolnościowego ruchu kobiet japońskich jest pani *Kawapu*, organizatorka japońskiej sekcji, znanego w całym świecie kulturalnym stowarzyszenia pod nazwą: „*Young women's christian association*” (*sho-jo-kai*).

Japońska *J. W. C. A.* założyła w całym kraju wschodzącego słońca schroniska dla kobiet pracujących, których tam jest niemało, albowiem większość biur i magazynów posługuje się siłami kobiecemi. W schroniskach tych znajdują Japonki nietylko opiekę, ale uczą się wielu pożytecznych nauk, a przedewszystkiem obcych języków i muzyki europejskiej.

Zajmującą osobistością japońskiego świata kobiecego jest baronowa *Ishimoto*, bliska kuzynka burmistrza *Tokio*, wicehrabiago *Goto*. Młoda ta dama, rzadkiej urody, rozporządzająca ogromnym majątkiem, opuściła męża, dwoje swych dzieci oraz teściową i udała się do Ameryki dla studjów i należytego zbadania życia kobiet pracujących, co zmusiło baronową do objęcia posady panny sklepowej, a następnie urzędniczki w jednym z biur amerykańskich. Na zasadzie swych obserwacji baronowa *Ishimoto* doszła do przekonania, że o sile narodu nie rozstrzyga ilość dzieci, ale ich zdrowie, wobec czego po powrocie do swej ojczyzny rozpoczęła propagandę systemu dwojga dzieci, co wywołało konflikt z władzami.

Z pośród znanych i cenionych przez ogół osobistości, stojących na czele ruchu kobiet japońskich, są: baronowa *Uriu*, księżniczka *Oyama*, panna *Tsuda*, które w r. 1871 kształciły się w szkołach amerykańskich, pani *Hide Inoye*, obecny dziekan uniwersytetu kobiecego w *Tokio*, pani *Riyu Kadano*, która wydatnie pracuje, jako członek czynny kobiecego stowarzyszenia pokoju, znajdujące się w stolicy *Nipponni* oraz pani *Tamaki Miuza*, która znana jest w szerokich kołach społecznych, jako działaczka społeczna na polu emancypacji.

Przewrót w życiu towarzyskiem spowodowała pani *Tsuruni*, żona znakomitego pisarza japońskiego, *Goto*, burmistrza *Tokio*. Po kilkuletnim pobycie w Europie i Ameryce, pani *Tsuruni* otworzyła pierwszy salon japoński, w którym przy popularniowej herbatce schodzą się damy kraju wschodzącego słońca i Europejczycy. Jest to wyłom w dotychczasowych obyczajach życia społecznego Japonji, ale wyłom korzystny, rozszerzający dotychczasowy widnokrąg kobiet japońskich.

## LIST ZE WSI

Przez moje okno.—Jak powinien wyglądać wiejski dwór.—O weteranach z czeczotki i ramkach z aksamitu.—Westchnienie, poświęcone klechdom.—Kazia, Marylka, Halźbietka.—Jak się chodzi do kościoła.—Dygresja o kąpielowych czepkach, o okularach amerykańskich.—Ustęp o „ustępie” i o tańcach wogóle.—Krwawy wojownik i matka — karmicielka.—Jakiej objaty zażąda Mars?—Suplikacje.—„A gdy będzie słońce i pogoda...”

...Otwarte okno mego pokoju wychodzi wprost na sad, cudowny stary sad, który zapewne nie jest złotem jabłkiem dla kieszeni, ale zato jest złotą legendą przeszłości i nikt tak dobrze, jak on, nie zna historii białego dworku.

Jeżeli piszę „biały dworek”, to możesz śmiało, droga Czytelniczko, wywołać przed oczy wizję takiego właśnie długiego, niskiego domu o trochę krzywych ścianach, o załamany dachu, — domu z ganeczkiem na słupach drewnianych i z lipową aleją, strzegącą wyboistej drogi. Wewnątrz dworek ma ściany bielone, na ścianach poczerńnię i — niestety — popstrzone przez muchy obrazy, pod ścianami zaś stoją wyprostowane stare, ale jare weterany; cała kolekcja czeczotkowych *Biedermayerów*.

Swojego czasu dostały one dymisję. Były zbyt harmonijne w epoce „turniur”, raziły prostotą swej piękności smak ludzi z lat ośmdziesiątych. Poszły na strych. Wydobyła je stamtąd wojna, spaliwszy atlasowe „puffy”, ozdobne ramki z aksamitu i sprzęty, przypominające zwyrodniałą rasę piesków—ratlerków.

Szanowni starszyszkowie zajęli dawne miejsca. Niejeden inwalida z przetraconą nogą tuli się w kącie przy ścianie... Czasem jakiś mebel wśród ciszy nocnej zaskrzypi nagle, budząc przygodnych mieszkańców opowieścią o duchach, zamieszkujących stare dwory. Jeżeli w takiej chwili zajrzy przez okno seledynowy sierp księżyca, albo zaszumi wstrząśnięta deszczem akacja—wszystkie zasłyszane w dzieciństwie klechdy o strachach stają się w mroku nocnym rzeczywistością.

Codziennie zrana budzi mię głosne stuknięcie drzwi i tupot bosych nóg po podłodze. Otwieram oczy i widzę przed sobą zabawną osóbkę o wytrzeszczonych, niebieskich oczach i płowym warkoczyku, ciasno skręconym w tyle głowy. Dzisiaj osóбка ma na imię Kazia, w przeszłym roku była to Marylka, jeszcze dawniej Teofila albo Halźbietka. Wszystko jedno — osóбка ma prawie zawsze te same oczy, ten sam warkoczek, nawet—tę samą spódnicę z „filutowego” lub „mirtowego” samodziału i kaftanik, ściągnięty wedle tutejszej mody pod pachami (czyżby jakaś lokalna odmiana *empire'u*?),

W niedzielę Halźbietka czy Teofila zawiązuje pod brodą śnieżnej białości chusteczkę, ukrochmaloną, jak

przystoi, bierze w prawą rękę garść kwiatków, uszczkniętych o świcie z dworskiego klombu wlewą rękę bućki i rusza do kościoła.

Wyznaję ze skruchą, że nabożeństwo wiejskie sprawia mi wiele dystrakcji. Jakże bo się nie gapić, zwłaszcza w tutejszej parafii, obfitującej w emigrantów amerykańskich. Niektórzy popowracali stamtąd, niektórzy zostawili tutaj rodzinę i zaopatrują swe żony, matki czy siostry w rozmaite, czasem bardzo oryginalne, szczególnie garderoby. I tak, naprzykład, zdarzyło mi się widzieć kąpielowy czepek, włożony do kościoła przez szczęśliwą tuziemkę, posiadającą w Ameryce krewnych. Młodzi eleganci miejscowi nakładają specjalnie do kościoła olbrzymie okulary w rogowej oprawie, okulary, przez które ich zdrowe, niepopsute ślęczeniem nad książką, oczy nic dojrzeć nie mogą... Okulary weszły tu w modę, jak również pewien taniec, którego nazwa o mało nie przyprawiła mię kiedyś o atak serdecznego śmiechu.

Było to tak: skorzystawszy z pozwolenia, parobcy dworscy urządzili tańce przed dworem. Tańce tutejsze naogół są dość pierwotne: polegają na kręceniu się wkółko, przy dźwiękach nader monotonnej melodji, odpowiedniej zresztą do również niewyszukanych słów, naprzykład:

Alibo wódki dajcie,  
Alibo pocałujcie—  
A to wódki niema u domu  
A całować niema komu...

I tak bez końca.

Aż tu raptem—patrzę—coś inaczej kręcą się moje Halźbietki. Wsłuchuję się—coś, jakby inaczej „podciąga” nuta harmonji. Podchodzę tedy i pytam:

— Co to teraz tańczycie?

Naturalnie—zrazu odpowiada mi długie milczenie. Po chwili dopiero któraś z rezolutniejszych dziewcząt odpowiada:

— Ano... taniec taki jest.

Widzę, że jest. Pytam tedy dalej:

— A jak się ten taniec nazywa?

Nie wiecie?

Krótkie chichotanie, wreszcie pada z czyichś ust odpowiedź:

— Co nie mamy wiedzieć? Nazywa się: ustęp.

— Jak — pytam.

— Ustęp.

Zrazu nie wierzę własnym uszom, ale ktoś dopowiada z powagą:

— Amerykański taniec jest. Tak i nazywa się.

Jestem w domu! Jakże nie mogłam pojąć odrazu! One step. Po tutejszemu „Ustęp”... Przecież to takie proste... O, święta naiwności moja, nie mogłaś pojąć odrazu, że Halźbietka równie, jak jakaś panna Lola czy Nella tańczy sobie „one step’a”. Naturalnie, taniec wygląda nieco inaczej... dostosowano go do warunków i wymagań tutejszej etykiety, ale zawsze—to ten sam „one step”. Zapachniało Europą... przepraszam—Ameryką!

Jeżeli wkroczyłam już na tak rozległy temat, jak tańce, pozwolę sobie wspomnieć i o innem, znacznie donioślejszem zjawisku, obchodzącem obecnie cały „świat”. Mam na myśli owo, tak już niedalekie, zbliżenie się Marsa do Ziemi.

Wojowniczy ten planeta... (Och, jakże miło czasem pozwolić sobie na użycie starożytnej formy językowej! Zupełnie, jakbym otworzyła antyczną komódkę, przepojoną zapachem lawendy, i znalazła tam dawnego kroju suknię prababki, a włożywszy ją, przekonała się, że prababce mogło być w niej do twarzy!...). Ale o czym to miałam pisać? Ach, prawda! Czytelniczko, wybac mi gadulstwo, które jest przysłowiową cechą kobiecej natury. Otóż—„Wojowniczy ten planeta” już teraz ukazuje nam co wieczór złowrogą postać swoją. Jest czerwniejszy, niż zwykle, śmiem twierdzić, purpurowy—i codzień zdaje się okazać się.

Nic dziwnego: zbliża się ku nam i to wielomilowemi krokami! Co nam przyniesie krwiożerczy bóg w tym roku, iż się tak wyrażę, „jubileuszowym”? Jakiej zażąda objawy? Oto od dwóch blisko tygodni mokną na polu niezwiezione snopki żyta... Gdy ten list, Czytelniczko miła, dojdzie rąk Twoich, już się ustali przybliżona cyfra strat, poniesionych przez nasze rolnictwo. Wiosenne zimna, letnie grady i potworne ulewy zniweczyły pracę setek tysięcy ludzi. Jaki zbiorą plon swych trudów — przyszłość najbliższa pokaże. Kto wie, czy gorząca klęska nieurodzaju nie jest właśnie jednym z gońców groźnego bożka...

Myśląc o tem, przywódmym na usta słowa suplikacji i z całą pokorą błagajmy: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny—zachowaj nas Panie”!!!

Nie chciałabym smutkiem własnych (oby fałszywych) przeczuć zakończyć tego listu, który powinien być jasny, pachnący sianem skoszonem i miodem, wesoły, jak pliszka. Tem weselszy i jaśniejszy, że z nieba płyną wciąż jeszcze całe potoki obrzydliwej, mętnej wody i że słońce tegoroczne okazało się leniuchem, zdolnym całe tygodnie spać za chmurami, zamiast popracować troszkę nad rozgrzaniem przemokłej ziemi.

Zato, ilekroć bodaj na krótko się przebudzi, jakże umiemy to ocenić! Z jaką radością witamy każdy skrawek błękitu, każdy cieplejszy powiew, osuszający drogę wśród pól! Cieszymy się chwilą pogody. Nie żądajmy zawiele! Przypomnijmy sobie mądre przysłowie, że „wrogiem dobrego jest lepiej”.

Ta sentencja przypomniała mi inną: Co zanadto — to niezdrowo. Stanowczo zanadto się rozpisałam o wszystkim, co Cię może zupełnie nie obchodzi. List nie powinien być nigdy za długi. Tembardziej taki list, noszący skromny stempel krajowy... Nieprawdaż, cierpliwa Czytelniczko moja?

Wanda Milaszewska

## NA USŁUGACH SKARBU POLSKIEGO

Drobna, cicha idzie po tej ziemi w mozołe pracy i poświęcenia, jak żebrak z miasta do miasta, ze wsi do wsi, zbierając datki ze złota i srebra na trwałą podwalinę waluty polskiej. Stad nie brak dziś Rządowi Państwa Polskiego tych cennych kruszców, bo dusza jej, opromieniona miłością dla ojczyzny, utkwiała wzrok w tem jednem dążeniu... ugruntowania podstaw finansowego ustroju państwa. Postacią tą świetlaną jest panna Demelówna, przedstawicielka [stowarzyszeń miasta Lwowa w pracy narodowej, tego Lwowa, wyszkolonego w poświęceniu i wszelkiego rodzaju zasługach.

Polska i pieniądz, powiedziała ona sobie, nie znoszą rozdziału: on służyć jej musi za silną podstawę bytu, na której opierając się, będzie mogła dopiero rozwijać swobodnie swoją działalność w kierunku postępu i wszechstronnej twórczości. Ta myśl, gdy raz powstała w jej umyśle—stała się dla niej drogowskazem. Już zaczął się rok piąty od dnia, jak owa nauczycielka szkół powszechnych, panna Demelówna, peregrynuje po całym kraju, wśród ludu i obywatelstwa polskiego, aby nakłaniać swoją wymową prostą, ale gorącą, do składania daniny w złocie i srebrze, które zapełniają od lat już skarbiec Państwa.

Któż jej nie zna i kto znać nie powinien, gdy przeszła polską ziemię wszereż i wzdłuż, wszędzie chętnie widziana, tak dążenie to jej do regulowania finansów Państwa swoją słabą, kobiecą dłonią znajduje zrozumienie i współczucie pośród mas ludzkich. Wszak była ona przed rokiem i w Warszawie, jak była po różnych dużych i małych miastach zawsze w tej samej roli żebraczki o złoto i srebro dla Polski. Przyszłe pokolenie postawi jej pomnik za tę cichą i wytrwałą, chociaż pozbawioną wszelkiego rozgłosu, współpracę w odbudowie Państwa. Obecnie, w wirze pracy politycznej i społecznej nikt nie ma czasu, ani dobrej woli, aby ocenić tę olbrzymią zasługę polki-patriotki. Od czasu do czasu tylko pisma polskie zawiadamiają publiczność, że w skarbcu Państwa zebrano się już z datków dobrowolnych dwa wagony złota i jedenaście wagonów srebra, co zamieniając w cyfry, przedstawia olbrzymi kapitał, jako trwałe fundament waluty polskiej. Ale że duszą tej całej roboty jest p. Demelówna—to się zazwyczaj pomija milczeniem.

Gdyby tę samą ideową pracę podejmował mężczyzna — wiedziałaby o niej nie tylko Polska, ale i świat cały; że zajęła się nią przyciszona kobieta, zasłyszał coś o tem ten i ów, ogół nie ma nawet przybliżonego pojęcia o wielkiem zadaniu tej zbieraczce pracy.



A wszak cała reforma finansowa, którą obecnie przeżywamy, miała za jeden z ważnych motorów bezinteresowną przysługę p. Demelówny, oddawaną cicho i bez rozgłosu ukochanej ojczyźnie.

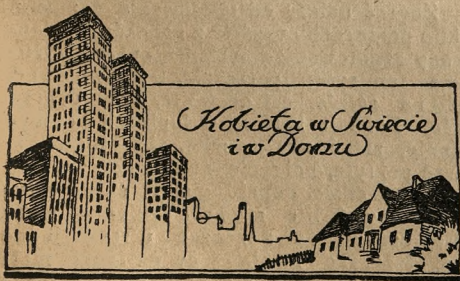
A jak jest trudno o wytrwałą i bezinteresowną pracę, wskazuje na to sam fakt, który warto przypomnieć, że za czasów ministra finansów p. Rybarskiego, postanowiono dla ułatwienia p. Demelównie zbierania złota i srebra — pozakładać liczne komitety, które też powstały w całym kraju. Komitety te jednak zlikwidowano niebawem, bo więcej przynosiły kosztów, aniżeli zysków. Obecnie istnieje jeden tylko ogólny komitet w Warszawie, do którego p. Demelówna wysyła stale zbierane kruszce, a których, według odnośnej ustawy, nie wolno używać na żadne inne potrzeby Państwa, bo mają one stanowić jedynie twardą podstawę waluty polskiej.

I praca owa idzie dalej i dalej w tym kierunku, rośnie w swej wytwórczości bezbarwnej i marwej, ale obfitującej w pożytek i moc ekonomiczną Państwa.

Ale, jak dawniej, tak i dziś nikt się tą mądrą robotą nie interesuje, nikt jej zasłużonej czci nie oddaje; podniosłe umysły wprawdzie impulsów do swoich dojrzeń w pochwałach i uznaniu nie szukają, honor jednak społeczeństwa, a nawet interes narodowy tego wymaga, aby oddawać należyta cześć prawdziwej zasłudze.

Niechże mi wolno będzie złożyć w piśmie dla wszystkich kobiet wyrazy uznania tej pracowniczce, która nie ustanie w swym ideowym trudzie dla przyszłości ukochanej Ojczyzny, pomimo chłodu i zapoznania.

*Dr. Anna Wyczółkowska.*



## SĄDY PRZYSIĘGLYCH W AMERYCE.

Niektóre ze Stanów Zjednoczonych Ameryki wprowadziły u siebie ustawy, według których kobiety są powoływane do zasiadania w sądach przysięgłych równi z mężczyznami. Inowacja ta wywołała ożywioną polemikę w prasie, przeciwnicy bowiem równouprawnienia kobiet dowodzili, iż kobiety są wogóle nieodpowiednie do roli sędziów: są zbyt sentymentalne, kierować się będą raczej uczuciami osobistej sympatii względnie nie-

chęci do podsądnych, niż obiektywnym poczuciem sprawiedliwości, i t. d. Argumenty te jednak okazały się najzupełniej niesłuszne — przeciwnie, kobiety potrafiły dotychczas wywiązać się doskonale z włożonych na nie obowiązków, nieraz nawet ku niezadowoleniu swych kolegów — mężczyzn.

I tak np. w jednym wypadku zebrani przysięgli mieli do rozważenia sprawę, która nie wymagała zbyt wiele czasu do namysłu. Mężczyźni jednak, którzy w tym komplecie sędziowskim znajdowali się w mniejszości, odwlekali swą decyzję, a wreszcie postanowili odłożyć ją do dnia jutrzejszego. Był to piątek wieczór, nazajutrz więc wypadła sobota, dzień ogólnie w Ameryce uważany za półświęto. Przewornym „sędziom“ chodziło o odwleczenie sprawy aż do soboty rano, wtedy bowiem zostaliby zwolnieni już od południa i otrzymaliby wynagrodzenie za cały dzień pracy. Koleżanki ich inaczej jednak zapatrywały się na tę kwestję: wstawszy rano w sobotę, udały się do sali sądowej przed godziną ósmą, zawezwały swych kolegów, a będąc w większości, złożyły swój wyrok jeszcze przed godziną 9-tą, t. j. przed godziną, w której rozpoczyna się oficjalne urządowanie. Tym sposobem oszczędziły rządowi po 4 dolary od każdego sędziego przysięgłego.

Wogóle urządowanie kobiet w sądach przysięgłych zaznaczyło się odrazu troską o oszczędzanie pieniędzy rządowych. Skoro tylko przewodniczący sądu poddał im jakąś sprawę pod rozważenie, udawały się one na naradę bezpośrednio do przeznaczonych na to sali, nie zachodząc po drodze do bufetu lub palarni, jak to czynili ich koledzy, uważający za swój przywilej jedzenie, picie i palenie papierosów na koszt rządu.

Zarzut zbytnej sentymentalności okazał się również niesłusznym. W jednej ze spraw, która znalazła się na wokandy takiego sądu „mieszanego“, (t. j. składającego się z kobiet i z mężczyzn), podsądnym był młody chłopak lat 18-stu, oskarżony o kradzież z włamaniem. Przepięknie jego było najzupełniej udowodnione. Pomimo to jednak kilku z przysięgłych wahało się z wydaniem wyroku „winien“. „Jakżeż możecie — mówili oni do swych koleżanek — skazywać biednego chłopca na karę więzienia? Pomyślcie — przecież to taki młody chłopak! Może która z was ma syna w jego wieku“. — „Tak“, odparła na to jedna z kobiet, „i ja mam rzeczywiście syna w jego wieku — a więc właśnie dlatego uważam, że mogę ze spokojnym sumieniem wydać wyrok, skazując tego chłopca na zasłużoną karę; o ileby bowiem w naszym państwie przestępstwa tego rodzaju były tolerowane, wtedy kto wie, czy i syn mój nie znalazłby się niebawem na tej samej ławie podsądnych, na której siedzi w tej chwili ten oskarżony“.

## NAUCZYCIELKI ANGIELSKIE ŻADAJĄ RÓWNYCH PŁAC.

Pismo angielskie „The Woman Teacher“ (Nauczycielka), wydawane przez Stowarzyszenie Nauczycielek, podkreśla konieczność podwyższenia płac nauczycielek w Anglii i zrównania ich poborów z tymi, jakie potrafili uzyskać ich koledzy.

„Większość nauczycieli nie posiada rodzin do utrzymania i dlatego argument wypłacenia im wyższych pensji ze względu na to, iż mężczyzna jest żywicielem rodziny, w większości wypadków jest tylko pretekstem. Statystyki urzędowe wykazują, że w państwie angielskim, na ogólną liczbę dorosłych, 48% tylko jest obarczonych rodziną (która, oczywiście, niekoniecznie i nie we wszystkich wypadkach zawdzięcza swoje utrzymanie jedynie tylko pracy męża i ojca). Według wszelkiego prawdopodobieństwa, procent nauczycieli żonatych i utrzymujących rodziny jest jeszcze niższy, niż ogólny procent wśród wszystkich obywateli państwa. Zresztą, jeśli wziąć pod uwagę mężczyzn żonatych, ale bezdzietnych, to położenie ich finansowe niczem się nie różni od bezdzietnych: żony ich nie są bynajmniej na „utrzymaniu“ swoich mężów, ci ostatni bowiem musieliby przecież trzymać kogoś w domu i opłacać go za prowadzenie ich gospodarstwa domowego. A cóż ma robić nauczycielka, która poświęca swój czas na pracę zarobkową? Wszakże i ona musi opłacać kogoś, kto za nią zajmie się gospodarstwem, które nauczycielowi prowadzi jego żona.

Jeden z naszych humorystów powiedział niedawno, że największym nieszczęściem kobiety pracującej zarobkowo, jest fakt, że niema ona żadnej żony do utrzymywania. Ten paradoks zawiera w sobie sporą dozę prawdy. Pod pretekstem bowiem, że kobieta zarabia tylko na siebie samą, pracodawcy jej uważają, że powinna ona zadowolnić się znacznie niższą płacą, niż ją pobierają koledzy jej — mężczyźni. Tymczasem nic nie jest bardziej dalekie od prawdy, jak twierdzenie, że przeciętna nauczycielka nie ma żadnej rodziny do utrzymania, dlatego tylko, że jest niezamężną. Większość z pośród nich utrzymuje całkowicie lub dopomaga starym rodzicom lub wychowuje osieroconych siostrzeńców; jak często się zdarza, że syn, któryłożył na utrzymanie swych rodziców, dopóki był kawalerem, po ożenieniu się pozostawia ich na opiece siostry niezamężnej, a zarabiającej na swoje utrzymanie z tem przeświadczeniem, że skoro on dziś zakłada swoją własną rodzinę, to wszelki obowiązek dalszego opiekowania się rodzicami spada z natury na barki córki, „która przecież nie potrzebuje na nikogo prócz siebie pracować“.

# KRONIKA MODY.

Paryż, 4 sierpnia.

(Kor. włas. „Bluszczu.”)

## MODA DZIECIĘCA W PARYŻU.

Pomówmy o naszych milusińskich i o modzie dla nich. Dużo jest w tej sprawie do powiedzenia, temat nastęrcza się istotnie niewyczerpany.

Od dwudziestu już lat zaznacza każdy sezon nowy postęp w sztuce ubierania dzieci. Dopiero jednak od 3-ch, 4-ch, czy 5-ciu lat robi się w tym zakresie rzeczy śliczne, zarówno ze względów elegancji, jak praktyczności i wdzięku.

Długo czas wystawiano angielski sposób ubierania dzieci; nieustannie też i niezmiernie pouczano nas o konieczności naśladowania Anglików i przeciwstawiano naszemu zamiłowaniu do fatalaszków ich poczucie umiaru, praktyczności i skromności w strojach dziecięcych.

Obecnie nauczyliśmy się i my we Francji ubierać dzieci nasze równie dobrze, a bodaj znacznie lepiej, aniżeli Angliki. Bardzo byłabym rada, gdyby i matki polskie zdobyły sztukę tę w równym stopniu, jak matki francuskie. Czy jest w istocie coś miłszego nad widok dziecka, ubranego z prostotą, ale zarazem i z wdziękiem? Oczywiście nie może być tu mowy o pstręj, zwracającej na siebie uwagę elegancji, która byłaby zupełnie nie na miejscu i tem samym w bardzo złym guście.

W tym kierunku przyznać należy, że doskonałymi przewodnikami i mistrzami dobrego smaku są wielkie magazyny specjalne, a wszystko, co one pokazują w swoich wielkich oknach wystawowych, jest bardziej pouczające dla osób, umiających patrzeć, aniżeli jakiegokolwiek kroniki mody. Oko przywykła powoli widzieć tylko ładne rzeczy i zupełnie nieświadomie zachodzi przewrót pojęć (nie mając w sobie zresztą nic z bolszewizmu), doprowadzający w końcu do ulegania niemy wskazówkom i radom tych pokazów najwytworniejszego smaku i właściwej, zatem skromnej elegancji.

Pod tym względem wyznać muszę, że wielkie magazyny warszawskie wiele mają jeszcze do nauczenia się (nawet najbardziej renomowane), i w porównaniu z najskromniejszym sklepem paryskim znacznie pozostają w tyle. Polacy, słynący z dobrego gustu, sami najbardziej nad tem muszą ubolewać.

Nie odbiegamy jednak od tematu.

Dla dzieci najmniejszych, po zrzuceniu odwiecznych powijaków, (zachowywanych co najwyżej na noc), używane są ubranka z wełnianego trykotu, prawie zawsze białe, sporządzone własnoręcznie przez mamusię lub najczęściej przez babunię. Na małą podsukieneczkę, właściwie koszulkę, zawieszoną na ramionkach i zrobioną z cienkiego płótna lub z cienkiej flanelki, wkłada się w zimie drugą, takiego samego kroju — ale z długimi rękawkami — sukieneczkę, zrobioną ręcznie na drutach. Dla przytrzymania pieluszki wystarczą majteczki również trykotowe, zawiązywane w pasie; na nóżki i stópkę dajemy pończoszki i pantofelki lub buciki w włóczki. Tak ubrane maleństwo nasze może być wystawione na wszelkie zmiany temperatury, co najwyżej, w zimie narzucimy na sukienkę ciepłą, mięciutką pelerynę z włochatego, grubszego materiału lub z białego kaszmiru, a na główkę włożymy berecik, zrobiony z włóczki szydełkiem lub na drutach.

Jak tylko maleństwo troszkę podrośnie, daje mu się całkowite garniturki trykotowe (to znaczy nie oddziela się majteczek od sukienki). Pełno jest modeli takich kombinacji, jeden ładniejszy i praktyczniejszy od drugiego. Dziecko ma w ten sposób zupełną swobodę ruchów, gdy, przeciwnie, w dawnych długich sukienkach, jakie obowiązkowo stanowiły strój niemowląt, było ono skrępowane i niejako unieruchomione na rękę niańki czy matki. Gorąco też polecamy ten sposób ubierania maleństw wszystkim matkom, które tkwią jeszcze w przesądzie krepowania dzieci w puchowych poduszkach, czyniąc to jakby dla ustrzeżenia dziecka przed chłodem. Ciepło

jest w nich dziecka w istocie, ale jakże ciasno, niewygodnie i... wilgotno. Cerata, wsunięta pod pieluszkę, chroni od przemoczenia poduszkę, ale ciało dziecka styka się bezpośrednio z moką podściółką.

W lecie, podczas wielkich upałów, noszą maleństwa nasze rodzaj luźnej bluzy — w połączeniu z majteczkami — zapinanej na pleckach i pomiędzy nóżkami. Już w tym prostym, niewymyślnym, zdawałoby się, stroju ujawnia się może gust i pomysłowość mamusi. Robi się bluzy takie z materiału *éponge*, z surowego jedwabiu, z t. zw. *toile d'avion*, *de Vichy* lub wprost z płócienna albo z krétonu w drobne kwiatki. O ile materiał jest gładki (rozumie się, że polecieć należy zawsze i przede wszystkim kolor biały) można go przybrać lekkim ścięciem gałązkowym dokoła wycięcia szyjki i rękawków, przy małej kieszonce bocznej lub przy wielkiej kieszeni na brzuszku. Ładnie też i pomysłowo wygląda wyhaftowany — zawsze najłatwiejszym ścięciem gałązkowym — jakiś motyw wesoły: kotek, piesek, płaszek, kwiatek, łódeczka i t. p. Drobiazg taki, umieszczony na przeciwległej stronie bocznej kieszonki, bardzo zdobi i ożywia sukienkę, zupełnie jest niekosztowny, a co najważniejsze, bawi dzieciętko, które ciekawie już zaczyna rozglądać się dokoła siebie. Można też, o ile się chce, przybrać sukienkę wypustką odmiennego koloru, co też ładny i szczęśliwy wywołuje efekt.

Oto jak należy ubierać dzieci od dwóch lat, bez względu, rozumie się, na płeć dziecka. Podział na ubranka specyficzne dla chłopców i dziewczynek rozpoczyna się od trzeciego dopiero roku i to o tyle tylko, o ile koniecznie chcemy dać dziewczynce sukienkę, bowiem równie dobrze, a bodaj wygodniej jeszcze, będzie jej w ubrankach majteczkowych.

Dla chłopczyków najlepsze są majteczki płaskie lub bufiaste, bardzo krótkie, tak, aby nie zakrywać okrągłych, różowiućkich udek. Majteczki takie przypięte są do bluzeczki czy gorsiecika na guziki. Bluzeczka t. zw. *à la russe* lub też z dekolowanym kołnierzem marynarskim (gdy bluzeczka *à la russe* ma kołnierzyk stojący i zapięcie ukośne z boku). Bluzeczka taka bywa zazwyczaj prawie tak długa, jak majteczki.

Albo też inny pomysł: majteczki zapinają się w sposób widoczny na bluzeczce, wpuszczonej za pasek. Zapięcie zawsze z ładnych kolorowych guzików. Widziałam bardzo strojne i eleganckie modele podobne, wykonane z czarnego lub granatowego welwetu, przybrane przy kołnierzyku i mankietkach pliską koronkową lub z *crêpe de chine'u*. Ale to już na jakieś specjalne okazje. W razie chłodu gładki, skromny paltocik z *vatine* (materii wełnianej szorstkiej) koloru piaskowego z paseczkiem i kieszonkami nada pieszczochowi waszemu charakter męski już, co podniosą jeszcze nalydniczki ze skóry brązowej, doskonale zabezpieczające od wilgoci.

Dla dziewczynek tak samo, jak dla dorosłych pań, wybór jest znacznie bogatszy i dający większe pole do rozwinięcia pomysłowości i gustu matek. W domu — luźne, prostym krojem sukienki z materiału *éponge*, z płótna, z kreponu, z flanelki, z muslinu wełnianego; zawsze krótkie, z paskiem lub bez, bez rękawków, najczęściej zwłaszcza bez kołnierzyka, przybrane leciuchnym, wesołym hafcikiem. Ślicznem i zabawnem uzupełnieniem takiej sukienki będzie fartuszek, który obecnie przeważnie robi się z krétonu w deseń lub z płótna w żywych kolorach. Dziewczynki, także i chłopcy, lubią takie fartuszki, jak gdyby czując, że bardzo im jest w nich do twarzy, a może ze względu na wielką kieszeń na brzuszku, do której tyle można chować rzeczy. Sukienki, przeznaczone na spacer czy na wizyty, powinny również być proste krojem, ale bardziej wypracowane i z ładnych, barwnych materiałów: z *toile de sole*, z surowego jedwabiu, z *crêpe de chine'u*, z *crêpe marocain*, a sukienki, bardzo strojne, z tafty lub z *crêpe georgette*.

Pamiętać tylko musimy, że unikać należy — zarówno dla wygody własnej jak dziecka — zbyt skomplikowanego zapinania, a także wszelkich ozdób zbyt jaskrawych lub przeła-

dających całość, którą nawet w sukienkach strojnych, musi przede wszystkim cechować prostota i praktyczność przy bardzo staranem, pełnem świeżości i wdzięku wykonaniu. W tym celu wybierać należy barwy jasne, zdecydowane — oczywiście nie nazbyt jaskrawe — unikając wszelkich dziwactw oraz kolorów niepewnych, ponurych, jak np. niewyraźny żółty, brudno-szary, ciemno-brązowy, krzycząco-zielony, mocno-czerwony i t. p.

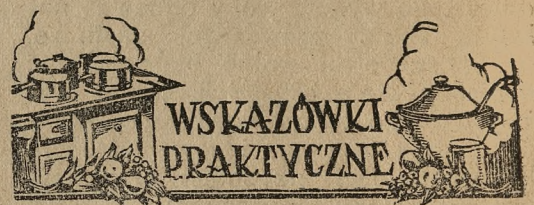
Nie zapominajmy nigdy, że prawdziwa elegancja polega na szarmonizowaniu całości stroju i dostosowaniu go do osoby, w danym wypadku do osóbkę, która ma w nim wystąpić. Zbytecznym będzie oczywiście dodawać, że bielizna dziecka, niewidzialna dla obcego oka, musi być równie świeża, czysta i staranna, jak części ubrania widzialne.

Mając takie zasady ogólne i wskazówki praktyczne, jak te, które starałam się podać powyżej, szybko posiadają panie sztukę ładnego i odpowiedniego ubierania dzieci, do jakiej my tutaj doszliśmy po wielu dopiero próbach. Nie więcej, niż dwadzieścia lat temu, ubierano je, jak dorosłe osoby, co było i brzydkie, i smutne, a nade wszystko pozbawione właściwego wdzięku, cechującego tak rokosznie wiek dziecięcy.

Krótką ta kronika nie rości sobie bynajmniej pretensji do wyczerpania wszystkich stron, dotyczących stroju dzieci. Zadaniem jej było jedynie nakreślenie wskazówek ogólnych, o ile zaś przedmiot zainteresuje czytelniczki „Bluszczu”, gotowa jestem powrócić do niego i opracować go szczegółowiej w moich kronikach przyszłych.

Hrabina Annie.

Z oryginału francuskiego, napisanego i nadesłanego specjalnie dla naszego pisma z Paryża, przełożyła n. b.



## OBIADY NA MASZYNCIE.

(ciąg dalszy)

### Obiad II.

Kluski na mleku, befsztyki z kartoflami, kompot porzeczkowy.

Zacząć należy od ugotowania kompotu. Pół kilo porzeczek oczyścić z ogonków, szklankę wody zagotować ze szklanką cukru, wrzucić na ten syrop porzeczki, raz zagotować, wylać na salaterkę i odstawić, aby dobrze ostygło. Pół kilo karfofli w łupinach obmyć starannie, zalać wodą zimną, aby objęło, zagotować pokryte, pokrycie zdjąć, gotować, aż zmiękną, odcedzić, dopóki ciepłe obrać z łupin. Zagotować litr mleka i szklankę wody (na trzy osoby), na miseczce utrzeć jedno żółtko, łyżeczkę masła i dwie łyżki mąki pszennej, sparzyć dwoma łyżkami wrzącego mleka, utrzeć doskonale, osolić. Widelcem zbić na talerzu białko na sztywną pianę, zmieszać z resztą ciasta, małą łyżeczką spuszczać małe kluski do wrzącego mleka, osolić zupełnie, gdy kluski spłyną, odstawić zupełnie w przygotowane gniazdo gazetowe. (Oczywiście, ciasto przygotować należy tak, aby było już gotowe, gdy mleko zawrze).

Na befsztyki wziąć pół kilo poledwicy krzyżowej bez kości lub antrykota bez kości, poprosić od razu w jatce, aby rozkrajali na trzy równe plastry i zbili mocno. Włożyć na patelnię niedużą łyżkę masła, zrumienić, położyć befsztyki, gwałtownie zrumienić z jednej strony przewrócić, posolić i popieprzyć stroną rumianą, tymczasem pokrajać ugotowane kartofle w plasterki, gdy befsztyki gotowe, zdjąć je na talerz, po-

łożyć kawałtka masła na patelnię, przesmażyć na niem kartofle, na wierzch położyć befsztyki, które, aby były dobre, winne w środku być niedosmażone, patelnię przykryć talerzem, maszynkę zgasić i podawać zupełne.

Obiad III.

Kaszka manna z masłem i koperkiem. Kotlet wieprzowy ze szparagową fasolą. Racuszki z cukrem.

Należy zacząć od fasoli. Pół kilo fasoli szparagowej oczyścić z włókien, znajdujących się wzdłuż strączka, i pokrajać w poprzek wzdłuż. Zagotować wody pół litra, na wrzącą wrzucić fasolę, osolić dosyć mocno, gotować aż zmięknie, odstawić, nie odlewając wody, do gniazda. Zagotować 5 szklanek wody, na wrzącą wsypać filiżankę niedużą manny kaszy, gdy się pogotuje minut dziesięć, włożyć łyżkę dobrego masła, osolić do smaku i włożyć garstkę jaknajdrobniej usiekanego koperku, włożyć w drugie gniazdo gazetowe. Trzy spore kotlety wieprzowe (należy kupując wybierać takie, któreby miały niedużą kość i poprosić w masarni, aby je wybito) osypać z obu stron mąką, osolić lekko, na patelni rozpuścić niedużą łyżkę masła, na lekko zrumienione położyć kotlety, smażyć na niezbyt dużym ogniu, aby się dobrze wewnątrz przesmażyły, a nie przypaliły po wierzchu. Gdy gotowe, odlać wodę z fasoli, na nią położyć kotlety, na patelnię z tłuszczem wlać łyżkę wody, zagotować, polać tem kotlety i fasolę, przykryć i postawić napowrót w gniazdo. Dwa żółtka utrzeć z filiżanką mąki i pół szklanką wody, osolić nieco, gdyby było nadto gęste, dolać jeszcze wody, ciasto powinno być wolne, białka ubić widelcem na pianę, zmieszać z resztą ciasta. Łyżeczkę smalcu rozpalić w patelni, kłaść łyżką racuszki, gdy się z jednej strony zrumienia, przewrócić na drugą, zdejmując na talerz, osypać cukrem. Gdy wszystkie racuszki usmażone, maszynkę zgasić i obiad podawać.

KONFITURY

(ciąg dalszy)

**Wiśnie.** Na konfitury używa się wisien trzech rodzajów: — nieładną, gdyż bez koloru, lecz smaczną i aromatyczną konfiturę dają wczesne, różowe wiśnie „szklanki”, okazałe, lecz nieco mdłe w smaku są „łutówki” i najlepsze, aromatyczne, w miarę kwaskowe, orzeźwiający są zwykle, późne, czarne wiśnie. Z tych gatunków pierwsze t. j. szklanki, sianaż się przeważnie z pestkami, bardzo aromatycznymi, natomiast łutówki i wiśnie zwykle dreluje się. Na funt owocu można brać od funta do dwóch funtów cukru, zależnie od tego, czy chcemy mieć więcej lub mniej syropu. Na funt cukru bierzemy szklankę wody, zagotowujemy w miedniczce, szumujemy, na wrzący syrop wrzucamy wiśnie, — gdy mocno zawrą, należy je odstawić od ognia, po dziesięciu minutach znów postawić na ogień, dać się po raz powtórny zagotować, poczem smażyć już na bardzo wolnym ogniu; gdy syrop gęstnieć zacznie, próbować na spodku, gdy krople stygnące się nieco po wierzchu ściagną, dodać jak zwykle na każdy kilogram konfitur pastylkę „benzoesu”, rozpuszczoną w łyżce przegotowanej wody, odstawić, ostudzić zupełnie w naczyniu, w którym się smażyły, po kilku godzinach złożyć w słoje z zachowaniem zwykłych ostrożności, zawiązać pergaminem i przechowywać w suchej szpiżarni.

**Morele.** Morele na konfitury należy brać niezbyt dojrzałe, można je smażyć w całości, — w takim razie pestki się w nich pozostawia, lub też w połówkach, — pestki się wtedy oczywiście usuwa. W każdym razie

BARWNIKI DO DOMOWEGO FARBOWANIA.  
ATRAMENTY

**„KOŁORYT”**

ULTRAMARYNA. PASTA DO OBUWIA.

owoc się gęsto nakłuwa widelcem srebrnym, (od stalowego porobiłyby się ciemne plamy); a to w celu, aby skórka przy smażeniu nie odstawała.

Na morele należy brać nie mniej niż półtora funta cukru na funt owocu, na syrop szklankę wody na funt cukru. Na razie się bierze tylko połowę cukru i syropem przestudzonym nalewa morele, ułożone w porcelanowym lub fajansowym naczyniu, dnia następnego, syrop się zlewa, dodaje połowę pozostałego cukru i letnim już zalewa powtórnie owoce, na dzień trzeci, zagotowuje już syrop z pozostałym cukrem, na wrzący wrzucą morele, daje raz zawrząć mocno, poczem odstawić na dziesięć minut, zagotowuje znów już na wolnym ogniu, odstawić ponownie, powtarza to po razy kilka, gdyż morele łatwo się rozpadają i można zamiast konfitur — otrzymać marmeladę. Dla dodania aromatu należy stłuc kilka pestek, wyjąć z nich białe ziarenka i na dosmażeniu dodać je do konfitur, to samo można zrobić, smażyć konfitury wiśniowe, oczywiście używając pestek wiśniowych. Gdy morele są już przezroczyste, dodaje się zwykłą ilość „benzoesu”, studzi konfiturę w miedniczce, konserwuje dalej w słojach, jak zwykle konfitury. Ponieważ morele są dosyć mdłe w smaku, dobrze jest, smażyć je, wycisnąć sok z cytryny lub też dodać łyżeczkę kwasu (soli cytrynowej). W ostatnim razie jednak należy konfiturę po usmażeniu studzić w naczyniu porcelanowym. Zastudzone w mosiężnej miedniczce, mogłyby być szkodliwe dla zdrowia.

**Salata.** Konfitura ta, dawniej często używana, dzisiaj zupełnie prawie nie znana, służyła przeważnie dla celów dekoracyjnych. Bierze się na nią najbujniejsze, najgrubsze lodygi, idącej w pęd salaty, obiera delikatnie z pokrywającego je naskórka, kraje w kawałki trzycalowej długości, układa w naczyniu głębokim i osypuje obficie utartym na tarce imbirem. Po 24 godzinach imbir się usuwa (salaty jednak nie płóczęc), robi syrop z pół funta cukru i pół szklanki wody na funt salaty, chłodzonym zalewa salate. Następnego dnia syrop się zlewa, dodaje pół funta lub nieco więcej cukru, łyżeczkę soli cytrynowej, zagotowuje, na wrzący wrzucą salate, smaży dalej, jak zwykle konfitury. Gdy salata stanie się przezroczysta, zlewa się ją na salaterkę, studzi i składa w słoje, benzoesu dodaje się jak zwykle do gotowych konfitur. Konfitura ta ma smak ostry, nieco gorzkawy, jest cenna przy ubieraniu ciast lub kompotów, — nie stanowi jednak koniecznego braku gospodarczego, jak maliny, wiśnie i t. p.

**Renklody.** Na konfitury należy brać renklody niedojrzałe jeszcze, lecz już zupełnie rozwinięte. Nakłuć gęsto owoce drewnianą szpilką lub srebrnym widelcem i wrzucić w wodę. Na funt owocu nie mniej półtora funta cukru. Z połowy cukru zrobić ulep, biorąc szklankę wody na funt cukru. Renklody osączyć z wody, otrzeć suchą, miękką ściereczką, włożyć w wazę, zalać zimnym syropem. Po 24 godzinach syrop zlać, dodać połowę pozostałego cukru, zagotować, zalać letnim renklody, po następnych 24 godzinach syrop zlać raz jeszcze, dodać pozostały cukier, zagotować, na wrzący wrzucić renklody, pogotować minut dziesięć, odstawić, zlać całość napowrót do wazy. Dopiero następnego dnia syrop zlany raz jeszcze zagotować, wrzucić renklody i smażyć, jak każdy większy owoc, z przerwami. Gdy renklody przezroczyste, dodać zwykłą porcję benzoesu, ostudzić w mosiężnej miedniczce, w której się smażyły, co bardzo wpływa na kolor konfitury. Dalej postępować, jak zwyłe.

Pani Elżbieta.

DORAŻNA POMOC  
**Lekarzy Specjalistów**  
w Warszawie

**„AUXILIUM”**

Czynna w dzień i w nocy bez przerwy

tel. 403-50.

Udziela niezwłocznej pomocy lekarskiej przez lekarzy wymaganej specjalności w mieszkaniu chorych lub w gabinetach lekarzy KONYLJA

222 Biuro Centrali ul. Żórawia 33.

**Podarujemy doskonałe mydło przeciw łupieżowi**



TOW. AKC. „**Fr. Karpiński**”  
w WARSZAWIE.

241

**QUAKER OATS**



oryginalne płatki owsiane dla dzieci, chorych i rekonwalescentów, niezmiernie pożywne i lekko strawne

**SPRZEDAŻ HURTOWA**

TOW. AKC.

**LAMBERT i KRZYSIAK**  
WARSZAWA, ul. NIECAŁA № 8.

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU

**PIG. CHLOROFILOWE**  
**GESSNERA**

115 preparat roślinny pobudza apetyt i wzmacnia organizm.

## Od Wydawnictwa.

**Prosimy o uregulowanie zaległej prenumeraty.** Wysyłkę „Bluszczu“ wstrzymujemy po otrzymaniu zawiadomienia o przerwaniu prenumeraty lub też w razie nieopłacenia prenumeraty do połowy miesiąca, co nie zwalnia od uiszczenia należności za wysłane, a przyjęte przez Szan. Prenumerat. numery. Za wznowienie wysyłki liczyć będziemy należność dodatkową w kwocie 50 groszy. **W razie nieotrzymania „Bluszczu“ we właściwym czasie, należy natychmiast numer odnośny zareklamować kartką korespondencyjną.** Reklamacje numerów zaginionych uwzględniane są do 2 tygodni bez pobierania kosztów. **Na wszelką korespondencję Sz. Pren. odpowiadamy tylko w razie przesłania znaczków poczt. na odpowiedź.** Przy przesyłaniu należności za prenumeratę czekiem P. K. O., jak również przy zamawianiu listownem tygodnika, należy podać dokładny i wyraźny swój adres.

„Bluszcz“ wychodzi co tydzień w sobotę. Do każdego numeru dołącza się bogato ilustrowany dodatek mód i robót oraz dodatek powieściowy, formatu książki. Dwa razy w miesiącu do „Bluszczu“ dołącza się arkusz naturalnej wielkości wzorów do kopjowania na materjale, do n-ru zaś po 15-tym każdego miesiąca—tablicę krojów. Prosimy o rozpowszechnianie „Bluszczu“ w kołach swoich znajomych. **Korespondencję należy umieszczać na czekach P. K. O. w wyznaczonym na korespondencje miejscu,** gdyż wszelkie uchybienia w tym względzie powodują potrzebę pisemnych wyjaśnień.

## OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 34

380. Sukienka dla dziewczynki od lat 14 do 16 z woalu deseniowego, wykończona falbaneczką.

381. Suknia z crêpe marocain, przybrana futrem.

382. Suknia z crêpe de chine'u turkusowego, przybrana wyszyciem z pacioreczków.

383. Suknia z ciemnej tafty, przybrana jasnymi pliseczkami.

384. Suknia dla młodej panienci z crêpe de chine'u morelowego, przybrana srebrną koronką.

385. Palto czarne aksamitne, przybrane fantazyjną taśmą.

386. Palto z zamszu szarego z futrzanym kołnierzem. Pas i mankiety gęsto naszyte sutażem lub tasiemeczką.

387. Sukienka dla młodej panienci z różowego crêpe de chine'u. Pasek i kokardki czarne.

388. Sukienka dla młodej panienci z czarnej tafty. Dół biały, haftowany czarnym.

389. Ubranko dla chłopczyka od lat 5 do 8 z flanelki w drobne paseczki.

390. Sukienka dla dziewczynki od lat 5 do 8. Dół granatowy, plisowany, góra popielata.

391. Skromna sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 9 z ponsowej flanelki, przewiązana czarnym sznurem.

392. Sukienka dla dziewczynki, od lat 7 do 12 z woalu białego i granatowego wyszywana granatowym.

393. Sukienka dla młodej panienci z żółtego crêpe georgette, przybrana mereżką.

394. Sukienka dla młodej panienci z jedwabiu koloru rezedowego.

395. Palto z zamszu piaskowego. Wyszycie trochę ciemniejsze.

396. Palto z szerokim pasem, bogato haftowanym.

397. Ubranko dla chłopczyka od lat 8 do 10 z aksamitu granatowego. Kamizelka biała, wykończona falbaneczką plisowaną.

398. Sukienka dla dziewczynki od lat 4 do 7 z granatowej wełny, wyszyta barwnymi kolorami.

### PRENUMERATA „BLUSZCZU“

z przesyłką pocztową

WYNOŚI

rocznie . . . . . 48 zł. — gr.  
kwartalnie . . . . . 12 „ — „  
miesięcznie . . . . . 4 „ — „

Zagranicą:

miesięcznie . . . . . 8 zł. — gr.  
zmiana adresu . . . . . — „ 30 „

### CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona . . . . . 90 zł. — gr.  
 $\frac{1}{2}$  „ . . . . . 51 „ 75 „  
 $\frac{1}{4}$  „ . . . . . 29 „ 25 „  
 $\frac{1}{8}$  „ . . . . . 15 „ 75 „  
 $\frac{1}{16}$  „ . . . . . 9 „ — „  
 $\frac{1}{24}$  „ . . . . . 6 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje wszystkie już przyjęte ogłoszenia od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na  $\frac{1}{4}$  część strony przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogłoszenie drobniejsze ma być powtarzane, za każde trzy razy należy wnieść należność z góry.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2,  
Koło Polek, telefon 239-40.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

399. Ubranko dla chłopczyka od lat 7 do 10 z wyrzucaną bluzką i kołnierzem marynarskim.

400. Ubranko dla chłopczyka od lat 7 do 12 z granatowego szewiotu.

401. Wzór na serwetę, haft richelieu. Wielkość naturalna 100x75 cm.

**UWAGA:** Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien, podanych w dodatku mód, nabywać można w

Administracji „Bluszczu“.

Przy zamawianiu form należy wymienić wielkość (I. II. III. lub IV), podług której forma ma być przykrojona.

### TABELKA PRZECIĘTNYCH MIAR

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skuteczniać na blankietach czekowych P. K. O.

### OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ, T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“ — Długa 9 i I. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107.